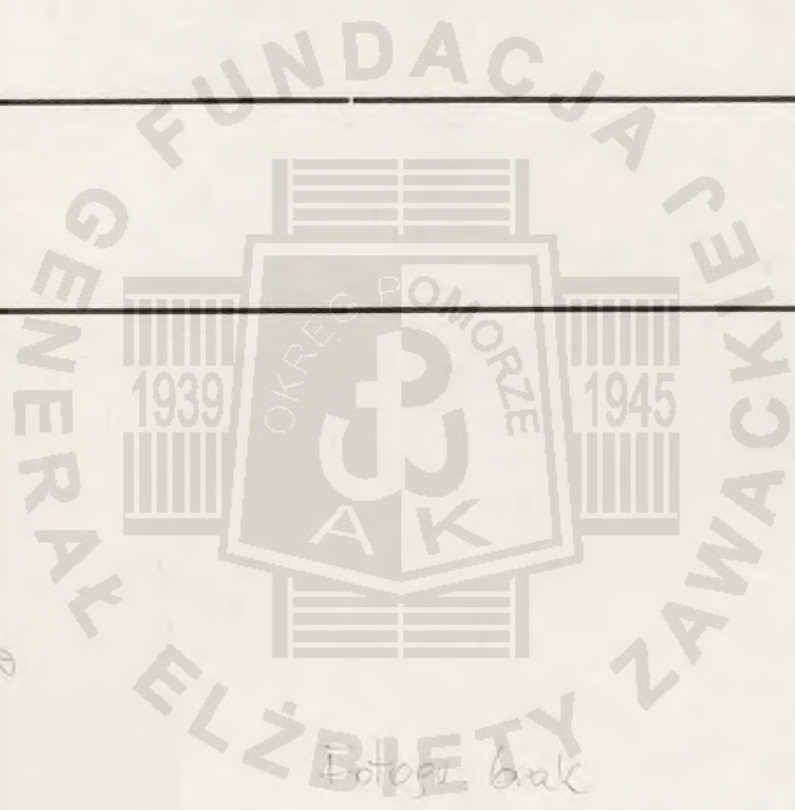


FUNDACJA GENERAL ELZBIETY ZAWACKIEJ
Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek
87-100 Toruń ul. Podmurna 93. tel. 0048 56 65 22 186
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl

FUNDACJA
"Armii Krajowej i Wojskowej Służby Polek"
Armi
tel.: 65 22 186
REGON 870602730
www.archiwum.torun.pl

zrobiona p. K. Wojtowicz.

MEMORIAL
General Marii Wittek



adres:
31-471 Kraków
ul.
tel

AK
Kraków

materiały
prekazała
p. K. WOJCIOWICZ

ŚWIERCZ-BRUNARSKA Zofia

ps. "Satonka"

1477/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI —

1477 / WSK

Świerca-Brenarska

Zofia

I. Materiały dokumentacyjne —

I/1 – relacja właściwa —

I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora —

I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację

✓ K. 55 s. 56

III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”): —

III/1 – dot. rodziny relatora —

III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939 – 1945) —

III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 – inne... —

IV. Korespondencja —

V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”]

✓ 1

VI. Fotografie —

II. Materiały uzupełniające relację:

- Zofia Świerca-Brunarska "Sofonka" - "Wspomnienia z działalności w AK. Msp. z odgamyśnią poprawkami - uszć nigkiej walosć: od str. 120 do 174. K. 55, s. 56



Zofia Świercz - Brunarska
"Safonka"



Wspomnienia z działalności w AK

Zofia Brunarska z d. Świercz, ps. "Safonka"
ur. 27 maja 1923r. w Zgierzu k/ Łodzi, córka Jana
i Celestyny.

W AK od września 1943r., zaprzysiężona przez
Irenę Augustyniakową ps. "Oleńka" - komendantkę
Okręgu Krakowskiego PŻ - Pomoc Żołnierzom,
działającym przy Krakowskim BIP-ie.
Łączniczka "Oleńki", kolporterka prasy konspiracyjnej.



Zofia Świerca Brunarska
ps. "Safonka"

~ część ewangelii wspomnień
p. 4. Była wojna + 2 str. z częścią
- 120 -

Świerca

11/3

Ostatnie dni sierpnia. Pogoda, ciepło. Uczę się przy otwartym oknie. Okno z naszego pokoju wychodzi na podworec obudowany wokół oficynami. Gdy ciepło i okna otwarte ostatnio często słyhać z którejs oficyny piękną grę na fortepianie. Kto gra tak pięknie? Zastanawiamy się z Hanką.

Naszą ciekawość zaspokoila wkrótce "wszystkowiedząca" sąsiadka. Wyjaśniła nam, że do sąsiadów mieszkających pod 29-tym w oficynie na pierwszym piętrze przychodzi czasem Halina Czerna, córka znanego profesora i pedagoga ze szkoły muzycznej, znanego pianisty, który jest autorem szeregu ćwiczeń na fortepianie dla początkujących i ona gra tak pięknie.

Po ostatnich tragicznych wiadomościach o pomordowanych w Katyniu, o powstaniu w warszawskim gettcie, po aresztowaniu Jurka, po lipcowej tragedii w Gibraltarze, Hanka schowała przywieziony z Kęblin patefon wraz z płytami przedwojennych przebojów.

Smutno więc było i cicho u nas, tylko czasem te pięknie grane melodie dochodziły do nas niczym dźwiękowe promyki pocieszenia.

Matura za parę tygodni. Ale zanim ją zdałam wydarzyło się coś ważnego co zmieniło radykalnie moje dotychczasowe życie !

Pewnego dnia w początkach września spotkałam na ulicy Lubicz koło dworca kolejowego panią Irenę Augustyniakową, dobrą znajomą moich rodziców o której już wspominałam, jak to na jej imieniny mama z Jadzią zanosły solenizantce w prazencie bochenek kartkowego chleba, obwiązany wstążeczką !

Pani Irena zatrzymała mnie i spytała - "Zosiu, kiedy matura?" Usłyszawszy, że już najpóźniej za parę tygodni ucieszyła się. - " Zosiu szykujemy na ciebie zamach ! Jak tylko zdasz maturę zgłoś się do mnie! Czekamy na ciebie. Proszę cię tylko Zosiu nikomu o tym, naprawdę nikomu, nawet rodzicom " - dodała z uśmiechem ! "No i pomyśl o pseudonimie dla siebie !".

Szłam do domu oszołomiona i zdziwiona stwierdzeniem, że oto zdarzyło się w moim życiu coś bardzo ważnego - konspiracja - czyli walka z okupantem ! Radość i jednocześnie obawa czy podołam? Taka ciamaжда jak ja, niezaradna, nieśmiała, bojąca się każdej zmiany !

Szłam powoli bardzo przejęta. Czy ja się nadaję do konspiracji?! Mam wątpliwości! Ale przecież muszę, muszę bo to mój święty obowiązek. Muszę podjąć ten wysiłek by sprostać, by nie zawiedli się

na mnie. To konieczne! Musisz i już! Powiedziałam cicho ale stanowczo do siebie.

Matura za parę tygodni. Nie będę czekać tak długo. Zgłoszę się do pani Ireny tylko wymyślę sobie pseudonim.

Myślę już od paru dni i nie mogę się zdecydować. Zabieram się do porządkowania moich papierkowych szpargałów. A nazbierało się tego dość przez dwa lata nauki. Oprócz podręczników jeszcze ze Zgierza lub pożyczonych już w Krakowie, pełno kartek z notatkami, wypiskami, streszczeniami a nawet jakieś ściagi! Całe te "corpus delicti" mojej nauki na tajnych kompletach maturalnych. Część z nich już niepotrzebną palę w piecu.

Między tymi papierkami znalazłam a właściwie sam mi wpadł w rękę - wiersz, który dostałam rok temu od naszych znajomych chłopców (wspominałam o tym). Teraz po roku Jurek aresztowany, Mietek ranny, Tadek w leśnych oddziałach, jedynie Kuba czasem do nas zajrzy.

Zacząłam ten wiersz, który rok temu został tak krytycznie przeze mnie przyjęty, czytać ponownie.

Przeczytałam go raz, drugi i trzeci! Zdziwiona stwierdziłam że nawet mi się podoba. Jest dowcipny, nawet wesoły a napisany i z talentem i dużą wiedzą. A że wydaje się złośliwy? No to co? Ktoś z wesoło i po batiarsku przymrużonym okiem (jak Tońcio by powiedział), nie znając mnie - jedynie zapewne z opowiadań, żartując, napisał o mnie wiersz z fantazją! Nie tego wiersza nie spalę^x!

Wtedy pomyślałam - może na dowód, że przestałam się gniewać za ten wiersz, wybrać pseudonim "Safo"? Nie!! To by było i głupie i śmieszne razem. Ale może "Safonka"? Miałam jednak wiele wątpliwości co do tego pomysłu ale rozwiła mi je pani Irena, gdy parę dni potem z tą propozycją poszłam do niej. To nawet dobry pseudonim, stwierdziła, przynajmniej nie będziesz miała dublerek. Ja mam pseudonim "Oleńka" i mam kłopoty.^{xx}

Odtąd pamiętaj "Safonko" w pracy Konspiracyjnej ty jesteś "Safonka" a ja "Oleńka"! Zdecydowała pani Irena!

xW załączeniu - wiersz "Dla Zosi" (Improwizacja) /ksero z oryginału/

xxIrena Augustyniakowa komendantka Okręgu krakowskiego PZ-tu, miała pseudonim "Oleńka", natomiast komendantka Obwodu krakowskiego też PZ-tu o pseudonimie "Kama" nazywała się Aleksandra Mianowska i liczni jej znajomi w Krakowie i nie tylko, nazywali ją poprostu Oleńką! Stąd wynikały częste nieporozumienia.

Zofia Brunarska - z d. Świerce
ps. "Sefonka"

- 123 -

"Było wojno"

/ bez erraty / II/5

C z ę ś ś c z w a r t a

Wspomnień - "akowska"

Listopad 43-go roku. Od miesiąca codziennie po pracy zgłaszam się do "Oleńki" * na ulicę Strzelecką.

"Oleńka" nazywa mnie żartobliwie swoim adiutantem ale właściwie jestem jej łączniczką. Szczęście, że chodząc przez dwa lata na Tajne komplety nauczania poznałam dobrze niemal cały Kraków. Bardzo to mi pomaga obecnie w mojej "pracy".

Pani Irena Augustyniakowa ps. "Oleńka" na początku wojny z rodziną została deportowana z Łodzi do Krakowa.

Od moich rodziców wiem, że pani Irena była aktywną działaczką niepodległościową podczas pierwszej wojny światowej a w okresie międzywojennym znaną i cenioną na terenie Łodzi działaczką społeczną. Mąż pani Ireny - Jan Augustyniak przed wojną był dyrektorem Miejskiej Biblioteki w Łodzi. Organizował też i prowadził kursy dla bibliotekarzy.

Warunki w jakich mieszkała z rodziną i pracowała "Oleńka" były mi bardzo dobrze znane.

Mieszkanie, a raczej pokój bardzo długi a wąski, znajdował się na ostatnim piętrze kamienicy. Wchodziło się do niego prosto z klatki schodowej. Miał jedno okno (na wprost drzwi wejściowych) z widokiem na mur Browaru Krakowskiego i trochę na prawo na jego zabudowania.

W pokoju tym mieszkała "Oleńka" z mężem i dwoma dorosłymi

* Irena Augustyniakowa ps. "Oleńka" - komendantka PŻ ("Peżet") - "Pomoc Żołnierzowi" przy BIP-ie (Biuro Informacji i Propagandy) Okręgu Kraków Armii Krajowej. Zmarła w Łodzi 12 grudnia 1978 roku (w wieku 83 lat).

Uwaga! - Formacja PŻ została powołana do życia w ramach AK rozkazem "Grabicy" (gen. Grot-Roweckiego) z dnia 17 marca 1942. W Krakowie referat PŻ dla Okręgu powstał przy BIP-ie w listopadzie 1942 r.

Wg.: Aleksandra Mianowska - "Udział krakowskiego Peżetu w akcji pomocy więźniom" Przegląd Lekarski 1988 45 Nr 1 str. 117, 118.

z części "Było wojno" p.t. "Było wojno"

córkami Danusią i Zosią, oraz pani Maria - siostra "Oleńki" z dwoma również dorosłymi synami. Starszym Zdzisławem i młodszym którego imienia nie pamiętam. Razem siedem osób.

Pokój posiadał jakby trzy części użytkowe. Każda o innym przeznaczeniu.

Pierwsza tuż przy wejściu po prawej stronie - zaopatrzona w zlewozmywak i dwupalnikową kuchenkę gazową stojącą na małym stoliku, służyła do celów kulinarno-gospodarczych i towarzyskich. W niej "urzędowała" pani Maria. Tutaj rozmawiało się głośno /normalnie/ o sprawach "obojętnych" - co gdzie kupiono, co na obiad, o pogodzie, o zdrowiu, itd. Każde niemal słowo tu wypowiedziane było dobrze słychać na klatce schodowej a nawet już na schodach! Miało to kapitalne znaczenie dla nas "gości", gdyż wskazywało, że w pokoju u "Oleńki" wszystko normalnie.

Środkową część pokoju zajmował najczęściej, o ile był w "domu" pan Jan Augustyniak ps. "Konrad" mąż "Oleńki". Zwykle coś czytał lub pisał nie zwracając na nikogo uwagi.

W trzeciej ostatniej części pokoju urzędowała "Oleńka". Załatwiała w miarę cichym głosem, przy małym stoliku stojącym pod oknem, swoje konspiracyjne sprawy z konspiracyjnymi gośćmi, którzy by dostać się do tej konspiracyjnej części pokoju, dosłownie przeciskali się przez dwie pierwsze. Gdy "Oleńka" była zajęta czekało się w pierwszej części pokoju - rozmawiając z panią Marią.

Danusia i Zosia przebywały w zależności od potrzeby w różnych częściach pokoju. Nie wiem tylko gdzie umieścić synów pani Marii, bo ich najczęściej nie było. Starszy pracował w magazynach "Społem" tuż przy Głównym Dworcu i być może, że tam też i często nocował.

Sądzę, że nawet najbliższym sąsiadom "Oleńki" nie przyszła do głowy myśl, by za drzwiami, które najczęściej nie zamykano, przez które wszystko było dokładnie słychać. W pokoju gdzie się "gnieździ" - tyle ludzi mogło być to - co było - dobrze zorganizowany punkt dowodzenia jednostką kobiecych oddziałów - PŻ - Okręgu krakowskiego Armii Krajowej ! *

* Przetrwał bez awarii do końca wojny.

W grudniu przed Bożym Narodzeniem dostajemy przez okazję z Łodzi paczkę żywnościową od wujka Leopolda. Radość! Cieszymy się z Hanką bo w paczce całe blaszane wiaderko przetopionej słoniny z dużą ilością pysznych skwarków! Chleb ze skwarkami. Poprostu pycha! Kiedy coś tak wspaniałego jadłam? Chyba przed wojną!

Wujek Leopold najstarszy brat naszej mamy, najspokojniejszy i może najmniej zaradny z pięciu braci, podczas tej wojny jak i poprzedniej, jak twierdzi nasza mama, przybywało mu energii do pracy i był podporą rodziny. Ostatnio co miesiąc przysyłał nam trochę pieniędzy.

Wujek Leopold nie miał szczęścia w życiu. Ożenił się późno z bardzo zącną, ale też bardzo nieszczęśliwą wdową. Rodzina jej namówiła ją na powtórne zamążpójście sądząc, że zapomni w końcu o swoim nieszczęściu przy boku spokojnego i dobrego człowieka jakim był Leopold. A nieszczęście jakie ją spotkało było naprawdę ogromne. Straciła męża przypadkowo śmiertelnie postrzelonego na polowaniu w sąsiedztwie a w parę miesięcy później, na wiosnę zmarło jej dwoje, jedynych jakie miała dzieci, na jakąś zakaźną chorobę!

Niestety przeliczyła się. Nie była w stanie zapomnieć ani męża ani dzieci i ostatecznie poszła do klasztoru. Wujek został sam i już nigdy się nie ożenił.

W okresie świątecznym, może przed samym Nowym Rokiem wracając do domu po pracy i odwiedzinach u "Oleńki" spotkałam Mietka Z.* który właśnie szedł do nas. Mama i Hania ucieszyły się. Mietka wszyscy lubili. Nie widzieliśmy go od czasu aresztowania Jurka. Poszedł wtedy z Tadkiem do leśnej partyzantki, gdzie został ranny. Teraz już zdrowy ale niestety zaniewidział na jedno oko. Został w nim uszkodzony nerw. Wprawdzie widzi dobrze okiem zdrowym ale ma trudności w rozróżnianiu odległości między widzianymi przedmiotami czyli nie widzi je w perspektywie a "płasko" w jednej płaszczyźnie.

Opowiadał jak został ranny. Przeprowadzali akcję przeciw policji /lub żandarmerii/ niemieckiej. Aby nie było represji na ludności polskiej, przeszli przez granicę i dopiero na terenie t.zw. Reichu zaatakowali jeden z tych posterunków. W akcji tej został ranny, ale zaraz dodał, że z własnej winy. Rzucił granatem w budynek posterunku policji niemieckiej tak niefortunnie, że odbił się on od krat okiennych i sam został ranny odłamkiem od własnego granatu!

* Zawodny

Popatrzyłam uważnie na Mietka. Nie pozował na bohatera. Opowiadał tak prosto, naturalnie, winiąc siebie za swoją niezręczność. Był ode mnie młodszy ponad dwa lata. Miał najwyżej 18-cie. Przez ostatni rok bardzo się zmienił. "Szczęśliwe lata" jak sam twierdził, miał już za sobą. Robił wrażenie poważnie myślącego i odpowiedzialnego. Prosto wydorósł a przede wszystkim bardzo wyrósł. Jeszcze rok temu nie był chyba wyższy ode mnie a teraz patrzyło na mnie z góry duże chłopisko !

Nie powiedziałam, że już jestem po maturze, ani o mojej obecnej pracy w konspiracji. Po pierwsze jedno i drugie - tajne, a poza tym, czy to takie ważne ? Dla mnie napewno tak, ale dla innych? Jeszcze pomyśli, że się chwale !

Mietek pełen entuzjazmu i dobrej myśli. Wspomina już bodaj po raz drugi o swym znajomym - młodym księdzu !

Pomyślałam sobie wtedy, że i ja też poznałam jednego krakowskiego księdza, ale zachwacona to ja nim nie byłam. Dlaczego ? Poszło o Marszałka Piłsudskiego !

Na początku mojej nauki na Tajnych kompletach, ojciec Hani Srokowskiej postarał się dla Hani i dla mnie o osobne lekcje z religii. Na jednej z pierwszych lekcji ksiądz coś krytycznie, według mnie krzywdząco wyraził się o Piłsudskim. Nieśmiało powiedziałam coś w obronie Marszałka, przyzwyczajona do liberalnie prowadzonych lekcji religii w naszym zgierskim gimnazjum przez ks. Czerwińskiego* przed wojną. Ku mojemu zdziwieniu bardzo zdenerwowałam tym naszego krakowskiego katechetę! Jak mi później Hania wyjaśniła naszym katechetą był ksiądz Mazanek jeden z braci też księży z bliskiego otoczenia ówczesnego arcybiskupa krakowskiego księcia Adama Sapiehy ! Na pewno był to tylko "zbieg okoliczności" , że ksiądz Mazanek zrezygnował wkrótce z nauczania nas. Uczył nas dalej już nie ksiądz ale świecki działacz jakiegoś przedwojennego stowarzyszenia młodzieży katolickiej w Krakowie, bardzo sympatyczny. Żonaty i ojciec dzieciom, jak mówiła Hania, ale jeszcze młody.

Wizyta Mietka u nas dobiegła końca. Miał jeszcze wstąpić do pani Rutkowskiej, piętro niżej. Chciał się dowiedzieć co z Jurkiem i pogadać z Kubą, Jurka bratem.

Wychodząc obiecał, że niedługo znów nas odwiedzi naturalnie o ile będzie w Krakowie.

* O ks. Czerwińskim też na str 61. Podobno zginął w obozie hitlerowskim !

"Oleńka" oznajmiła mi, że ma dla mnie dodatkowe "zajęcie". Parę razy w tygodniu, na bieżąco, będę przynosić "Oleńce" naszą prasę podziemną do domu na ul. Strzelecką.

Tak więc do końca stycznia 45 roku bez przerwy i bez wpadki nosiłam na ulicę Strzelecką 11, kilka egzemplarzy naszej "akowskiej" prasy podziemnej.

Był to przede wszystkim - Małopolski Biuletyn Informacyjny, a pod koniec 44 roku zwany krótko - Biuletynem Informacyjnym. Sporadycznie dostawałam wiadomości i powielane maszynopisy z nadsłuchu radiowego o ile dobrze pamiętam. Zdarzały się też od czasu do czasu inne tytuły prasy podziemnej.

Za zgodą "Oleńki" po jednym egzemplarzu tej prasy brałam dla siebie i po jednym też za zgodą "Oleńki" dla zaprzyjaźnionej rodziny mieszkającej przy ul. Topolowej.

Nasz kolportaż podziemnej prasy był dobrze zorganizowany. Swoją "porcję" prasy, już odliczoną i osobno opakowaną, dostawałam zawsze w oznaczonym dniu w umówionym na ostatnim spotkaniu miejscu, punktualnie co do minuty w umówionym czasie.

Kolporterka, która zaopatruje mnie w "akowską" prasę, ma pseudonim "Inka". Najbardziej lubiana przeze mnie koleżanka z konspiracji. Zawsze uśmiechnięta. Ma w sobie coś, co daje się odczuć jako życzliwość dla każdego z kim rozmawia. Jest w moim wieku. Taką "Inkę" zapamiętałam. *

Nawet w jakimś sensie polubiłam ten konspiracyjny kolportaż prasy "akowskiej" z udziałem "Inki". Z daleka już dostrzegałam jak nadchodzi uśmiechnięta. Wtedy jakaś ulga, napięcie mijało - i uczucie - wszystko będzie dobrze! Bo co tu dużo mówić - poprostu czasem więcej, czasem mniej ale jednak bałam się. Było coraz niebezpieczniej.

Nie zdarzyło się by któraś z nas spóźniła się na spotkanie lub by coś w naszych umówionych spotkaniach się nie udało. Wszystko grało jak w zegarku dzięki "Ince" i dzięki krakowskim właśnie zegarom.!

Miałam wprawdzie swój zegarek, który dostałam jeszcze przed wojną i który naprawdę dobrze chodził, ale i bez niego w Krakowie trudno byłoby się spóźnić. Niemal co ulica to zegar. Na froncie Dworca Głównego - zegar. U wylotu ul. Lubicz przy przystanku

* Waleria Czarniecka-Piłatowa ps. INKA / przez bliskich zwana
ur. 29. IV. 1922 r. zm. 30. X. 1981 r. - Lusią /

tramwajowym od strony Dworca, na wysokiej (3-4 metry) żelaznej bodaj podstawie z daleka widoczny okrągły zegar. Idąc dalej ulicą Basztową u wylotu ulicy Długiej na wysokiej kamienicy Aleksandrowicza a raczej na wieżyczce tej kamienicy - duży z daleka już widoczny zegar.*

W Rynku na Wieży Ratuszowej- zegar. Gdyby ktoś chciał wszystkie krakowskie zegary wymienić i opisać sporo by mu czasu na tym zeszło.

Niektóre z krakowskich zegarów wybijały godziny i było je dobrze słychać z dala. Na dodatek przy sklepach i na wystawach krakowskich zegarmistrzów też zegary wskazujące dokładny czas !

Wskazówki krakowskich zegarów, można powiedzieć, decydowały czy idąc na spotkanie z "Inką" szłam wolno czy przyspieszałam kroku.

Zawsze na miejsce spotkania zjawiała się co do minuty tak zresztą jak "Inka". Dochodząc na umówione miejsce (najczęściej była to ulica) - z daleka widziałam nadchodzącą lub idącą przede mną "Inkę". Nie witałyśmy się, dopiero za zakrętem ulicy szłyśmy już razem i zwykle w pierwszej - bramie domu przekazywała mi "Inka" a właściwie wsadzała do mojej torby tą przygotowaną dla mnie paczkę z "bibułą".

Raz jeden tylko odbierałam od "Inki" prasę w kościele. Było to w kościele Bożego Miłosierdzia przy rogu ulic - Felicjanek i Smoleńskiej. Stwierdziłyśmy jednak, że to mało bezpieczne i wróciłyśmy do naszej metody.

Najniebezpieczniej było naturalnie gdy wracałam - z prasą. Można było wpaść w jakąś uliczną łapankę lub co gorsza "nadziać się" na policyjny patrol niemiecki. Trzeba było uważnie wypatrywać z daleka czy nie dzieje się coś podejrzanego ! Nawet gdy szłam już po schodach do "Oleńki" nadśluchiwałam pilnie co dzieje się w "Oleńkowym" pokoju.

Raz szłam od strony ul. Warszawskiej przez ul. Kurniki i Pawia koło Dworca, któredy było mi najkrócej po schodach zejść do ul. Lubicz. Nie miałam przy sobie nic "trefnego" a i papiery z pracy miałam dobre (o tej pracy wspomnę dalej, bo ciekawe), więc gdy z daleka zobaczyłam stojących dwóch niemieckich żandarmów z rozmysłem szłam dalej w stronę Dworca. Naturalnie zatrzymali mnie, sprawdzili moje dokumenty, oddali mi je ale jednak na koniec kazali sobie pokazać dokładnie co niosę w torbie!!!

Tak przekonałam się, że nie mogę nigdy ryzykować takiego "spotkania" niosąc "akowską" prasę lub coś innego równie "trefnego" !, - w żadnym przypadku !

* W PRL-u zegary te zaczęły się psuć i wiele z nich zlikwidowano, a szkoda były takie krakowskie !

Prawie codziennie "zwiedzam" Kraków, chodząc z różnymi poleceniami "Oleńki", pod różne adresy do różnych osób. Jedną z pierwszych, którą poznałam była starsza ode mnie peżetka o pseudonimie "Honorka".^X Gdy po raz pierwszy poszłam do "Honorki" miałam trochę trudności z adresem. Adres raczej nie budził wątpliwości - ulica Pędzichów 13, Zawodowa Szkoła Odzieżowa i drewnianymi schodkami do góry.

Najpierw miałam kłopot z odnalezieniem nr 13, bowiem budynek szkolny pod tym numerem oddalony był od ulicy i stał w głębi parceli u końca jakby maleńkiej bocznej uliczki. Gdy weszłam na szkolną parcelę zobaczyłam dwa budynki i przy każdym drewniane schody. Na szczęście ten po prawej stronie wyglądał na jakies magazyny.

Nie raz jeszcze odwiedzałam "Honorkę" na Pędzichowie. Miała ona kontakt z leśnymi naszymi oddziałami.

Wielki Piątek przed Świętami Wielkanocnymi. Wracam po pracy do domu. Na rogu ulic Lubicz i Rakowickiej przy "okrągłaku" na którym rozlepiane są ogłoszenia, grupa ludzi. Coś czytają. Podchodzę. Wywieszona jest lista zakładników. Aresztowani Polacy wymienieni na liście w razie jakiejś akcji wrogiej wobec okupanta zostaną rozstrzelani.

Robi mi się zimno z wrażenia. Ludzie stoją milcząco i czytają. Lista bardzo długa. Nieznane mi nazwiska, przeważnie młodzi. Nagle gdzieś w połowie listy - Mietek ! Jest Mietek ! Imię, nazwisko, data urodzenia - zgadza się !! Mój Boże ! Nic nie wiedziałam, że został aresztowany ! Kiedy ? Jak to się stało ? Nie mogę czytać dalej.

Nikt z nas nie wiedział, że Mietek aresztowany, nawet Kuba. Mama bardzo przejęła się tą tragiczną wiadomością. Lubi Mietka. Uważa go za zdolnego i wartościowego chłopca.

Dziś przecież Wielki Piątek. Miałam iść do kościoła. Nie poszłam. Pomodlić się można wszędzie. Nawet w małym pokoiku za kuchnią.

Smutno mijają Święta. Mija kwiecień. Zaczyna się maj. Co nam przyniesie ?

Jakby na pociechę - radosna dla naszej rodziny wiadomość - Jadzia 14-go maja urodziła córeczkę. Będzie miała na imię Elżunia !

Tato nasz nazwał swą pierwszą wnuczkę Grażynką i napisał nawet dla niej wiersz ! Wspominała mi kiedyś mama, że ojciec za młodu pisywał wiersze. Później się ich wstydził i wszystkie poszły do pieca. !

^X Izabela Kuklewicz ps. "HONORKA" /ur. 24 III 1912 r.
zmarła 1 VII 1977 r./

^{XX} lista skazanych na karę śmierci z dnio 6 IV 1944.

We Włoszech ciężkie walki. Front wschodni powoli zbliża się. W Krakowie na ulicach coraz częstsze niemieckie patrole. Jest niebezpiecznie.

Do naszego mieszkania a raczej do jednego pokoju, który był jakiś czas zajęty przez młodego człowieka, podobno z rodziny gospodarzy (państwa Skucińskich) wprowadziły się niedawno dwie starsze panie. Pani Maria (nazwiska jej nie znałam) inteligentna, przystojna, najwyżej pięćdziesięcioletnia, z Warszawy. Jak wspominała miała męża i syna ale gdzie oni są nigdy nie wspominała. Były to czasy gdy nikt nikogo o nic nie pytał. Miałam jednak wrażenie, że do niej pasuje - "żona oficera". Oraz jej siostra o nazwisku Łagocka (imienia nie pamiętam) przed wojną była urzędniczką w PKP (Polskie Koleje Państwowe) w Warszawie.

27 maja 1944 roku. Piękny, majowy, ciepły dzień. Mój dzień urodzinowy. Skończyłam właśnie 21 lat ! Miałam na sobie tą ładną, którą lubiłam, jeszcze przedwojenną, letnią sukienkę a na nogach letnie "drewniaczki". Pora była obiadowa.

Przed wejściem do kamienicy przy ulicy Lubomirskich 27 gdzie mieszkaliśmy spotkałam naszą współlokatorkę panią Marię. Nie zdążyłam się do niej uśmiechnąć na przywitanie gdy złapała moją rękę i usłyszałam - "Zosiu chodź ze mną prędko. Musisz iść, musisz to zobaczyć." - mówiła głosem łamiącym się, nie wróżącym nic dobrego. - "Chodź szybko, chodź ze mną!" - Słowa padały raczej jak rozkaz a nie jak prośba.

Nie mogłam starszej pani, do której czułam naprawdę dużo sympatii odmówić. Musiało być coś bardzo ważnego !

Z ulicy Lubomirskich skręciliśmy w ulicę Ariańską. Wtedy pani Maria zaczęła mówić głosem twardym, stanowczym.

- "Przed chwilą przy ulicy Lubicz była egzekucja. Gestapo rozstrzelało dużą grupę Polaków. Wiem - głos pani Marii był twardy, stanowczy - z Warszawy, że przez jakiś czas zostawią ich tak po egzekucji. Musisz to bestialstwo czarnej bestii zobaczyć ! Jesteś młoda opowiesz to innym ! Pamiętaj opowiesz ! Ja już jestem stara ale ty młoda pamiętaj" -

Ogarnęło mnie przerażenie ale odwrotu już nie było ! Zbliżaliśmy się do ulicy Lubicz. Złapałam za rękę panią Marię mocno,

bardzo mocno. - "Nic się nie bój Zosiu - usłyszałam jej głos -
- "Oni nam nic nie zrobią". A ja się bardzo bałam. Bałam się również, że zobaczę wśród rozstrzelanych najmłodszego z grona naszych znajomych - Mietka. Był bowiem na ostatniej liście zakładników, rozlepianej w Krakowie przed samymi Świętami Wielkonocnymi.

Na ulicach pusto, ani człowieka, ani żadnego pojazdu. Tylko my dwie ! Boże daj nam siły!

Z daleka już zobaczyłam po lewej stronie, u wylotu ulicy Botanicznej, na chodniku, przy murze szpitala Neurologicznego, stojącą grupę - oprawców ! Kilku z nich było w czarnych gestapowskich mundurach, inni w mundurach podobnych w kolorze do mundurów wermachtu.

Jeden z nich widać najważniejszy, stał w miejscu, - pamiętam dobrze - był niski, grubawy w mundurze zielonkawym. Inni wyżsi od niego szczuplejsi, może dwóch z nich w czarnych mundurach, podchodzili co chwila do grubasa z szacunkiem, coś mu mówiąc czy o coś pytając.

Po drugiej stronie ulicy na niezabudowanym placu, na rogu ulicy Botanicznej i Lubicz, leżały ich ofiary. Do placu tego przylegały boczne, wysokie, ślepe (bez okien) ściany kamienic. Jedna od Botanicznej a druga od ulicy Lubicz.

Już przechodzimy przez jezdnię. Już widzimy dokładnie pomordowanych. Ściskam rękę pani Marii aż do bólu.

W szeregach równoległych do chodnika Botanicznej ulicy, leżeli po egzekucji twarzami do ziemi. Ręce mieli powiązane na plecach. Leżeli na placu w kilku szeregach z tym, że dalsze szeregi leżących ofiar nie były już tak równe jak pierwszy.

W środku pierwszego szeregu, kilku leżących mężczyzn miało szpakowate, (siwawe) włosy, a właściwie były to już spore odrosty włosów, po więziennym prawdopodobnie goleniu.

Zaczęłam liczyć ofiary egzekucji. Było ich dużo! Pierwszy szereg policzyłam. Nie mogę dokładnie powiedzieć ilu ich było w tym pierwszym szeregu bo mi się wszystko potem pomyliło. Napewno było ich około dziesięciu.

W drugim szeregu leżeli chyba i ci, których kule oprawców nie zabiły od razu. Byli prawdopodobnie ranni a później dobijani. Zwłoki ich bowiem były jakby trochę skręcone a skronie w krwawych

ranach. Nie leżeli już w równym szeregu.

Liczyć dalej już nie mogłam. Zaczęło mnie dusić w gardle ! W pamięci został mi jeszcze widok ostatniego leżącego w pierwszym szeregu. Miał na nogach "oficerki". Musiał być słusznego wzrostu i nie ułomek. Ręce miał widać mocno skrępowane, bo unosiły się w górę nad jego plecami spuchnięte, nabrzmięte jakby o pomstę wołające ! Leżał już przy samym murze pierwszej kamienicy ulicy Botanicznej.

Przed tą kamienicą, do której właśnie dochodziłyśmy stała "suka" z plandeką ! To dla tych biedaków ! - pomyślałam. Za chwilę będą ich wrzucać do niej i wywozają gdzieś, zrzucą do dołów - zakopią a ziemię udepczą swymi buciorami !

Doszłyśmy do ulicy Kopernika i skręciłyśmy nią w prawo. Szłyśmy milcząc.

Widziałam tej wojny walczących i rannych naszych żołnierzy na froncie kutnowskim we wrześniu 39-go roku. Widziałam ich świeże mogiły. Przeszłam wyrzucanie nas z domu przez gestapowców, aresztowanie ojca przez Gestapo, nocną brankę na roboty do Niemiec, tragiczne wiadomości o naszych bliskich i znajomych. Ale to co widziałam przed chwilą było dla mnie wstrząsem! Nigdy nie zapomnę !

Pani Maria zaczęła mówić pierwsza. - "Zosiu zapamiętaj sobie, było ich 42 -ch, ale mogłam się pomylić. Tam na końcu placu w samym rogu, przy płocie nie jestem pewna ilu ich było. Być może, że przez ten płotek w ostatniej chwili chcieli uciekać ! To było Zosiu okropne. W Warszawie też tak robili ! Zapamiętaj dobrze coś widziała !

Skręciłyśmy w ulicę Strzelecką. Pani Maria poszła do domu sama. Ja wstąpiłam jeszcze do "Oleńki", która właśnie na tej ulicy mieszkała. Siostra "Oleńki" zajęta była przygotowaniem obiadu.

Na moją tragiczną relację z ulicy Botanicznej "Oleńka" powiedziała krótko. - "Safonko" - wszyscy dziś jesteśmy żołnierzami na froncie !

Dobrze, że pani Maria przede mną wróciła do domu. Nie muszę już nikomu nic opowiadać. Poszłam do naszego za kuchnią pokoiku. Muszę sama "się pozbierać", zebrać myśli..!

Sądzą, że nas zastraszą ? To im się nie uda!

Nie moja wina, że jest wojna. Ja jej nie chciałam. Przyszła wbrew mnie. Ale wiem też dobrze, że moją powinnością jest dalsza walka aż do zwycięstwa. Tak jak walczył w legionach mój ojciec i moi obydwaj stryjkwowie. Tak jak walczyli i oddawali swe młode życie już w tej wojnie nasi dobrzy znajomi z lat dziecinnych - Kazik, Jurek, jak ci młodzi żołnierze z frontu nad Bzurą. A teraz tylu rozstrzelanych może i Mietek?

Wszyscy jesteście żołnierzami na froncie! "Oleńka" ma rację. Nie ma czasu na rozmyślania ani na sentymenty. Na froncie się walczy!

Nieraz sobie myślę jak dobrze, że w Krakowie jest tak jakoś wszędzie niedaleko! Chdżę wszędzie piechotą. Nie lubię jeździć tramwajem, wolę na własnych nogach. Może mam to po ojcu, który służył w legionach właśnie w piechocie. Dlatego jestem z urodzenia piechurzem? Wysłała mnie kiedyś "Cleka" do "Blanki" a ta mieszkała poza Krakowem gdzieś chyba na Dębnikach. Była niedziela zrobiłam więc sobie wycieczkę piechotą - tam i z powrotem. Bardzo to mi się podobało. Poza Krakowem więcej przestrzeni a nie ciągle te kamienice zasłaniające wszystko poza niebem nad nami. No na pociechę ma Kraków - Planty, w lecie zielone a w zimie białe!

Mam wrażenie, że "Cleka" była zadowolona z mojej "pracy". A może tylko mnie trochę lubiła? Ale raz jednak to dostałam od niej "reprimendę"! A było to tak: Wysłała mnie "Cleka" do kogoś kto mieszkał na ulicy Dietla, na przejeździe kolejowym, mniej więcej na przeciw Wielopola. Wchodzę do kamienicy pod wskazany numer dalej na piętro, drzwi na prawo. Otwiera mi starsza pani. Wąski przedpokój. Otwierają się drzwi po prawej stronie i jakiś pan w średnim wieku mówi - "to do mnie". W przedpokoju ciemnawo. Po chwili stwierdza, że - odpowiedzi nie będzie - ale ma do mnie prośbę. Żeby poszła do magazynu "Społem", który mieści się przy ulicy Zacisze tuż obok Dworca Głównego do pana Leona /może Leonka/ który tam pracuje i przyniosła mu to co on zostawił panu Leonowi na przechowanie. Na myśl mi nawet nie przyszło by odmówić. Poszłam. Jakie było moje zdziwienie gdy zobaczyłam w tym magazynie pana Zdzisława siostrzeńca "Oleńki", a jeszcze większe gdy zapytawszy go o pana Leona powiedział, że właśnie on nim jest.

Powiedziałam mu po co przyszłam i od kogo. Był zaskoczony i chwilę się zastanawiał. Potem kazał mi czekać i znikł. Po dobrej

chwili wrócił i powiedział - "tu jest to o co prosił"! Gdzie to schowasz ? Trzymał w ręku rewolwer !

Znałam ten śmiercionośny przedmiot. Ojciec mój miał taki przed wojną. Raz tylko miałam go w ręku, gdy będąc jeszcze dzieckiem w nocy zbudzona jakimś chałasem myślałam, że ojca napadli złodzieje. Ojciec pamiętam ostrożnie wyjął mi go z ręki i powiedział - "Zosiu pamiętaj on jest nabyty". Ani mama ani tato nie zrobili mi najmniejszej wymówki z tego zdarzenia. Nigdy już nie odważyłam się wziąć go do ręki. Pozostał mi do tego przedmiotu - jakiś szacunek połączony z lękiem.

Gdzie go schowam ? Tylko w torbie. Miałam na sobie letnią sukienkę bez żadnych kieszeni.

W torbie więc zaniósłam go na ulicę Dietla. Tam pan "w średnim wieku" bardzo serdecznie mi dziękował.

"Cleńka" gdy się o tym dowiedziały od pana Zdzisława (Leona) a ja potwierdziłam była bardzo niezadowolona. Głosem stanowczym oświadczyła kategorycznie, że ona ma tylko prawo mi rozkazywać a ja nie mogę słuchać i wykonywać poleceń byle kogo, zwłaszcza gdy go nie znam! - "Popamiętaj sobie "Safonko" raz na zawsze" - z naciskiem mówiła zdenerwowana "Cleńka" - Nikt nie ma prawa ci rozkazywać tylko ja ! I do kogoś, kto akurat był u "Cleńki" powiedziała oburzona. - "Sam to się bał". I padło określenie bardziej dosadne.

Na szczęście najczęściej miałam "konspiracyjne kontakty" z kobietami.

Pamiętam jakieś miłe starsze panie i młode dziewczyny z ulicy Krowoderskiej. W kamienicy na parterze gdzieś pod numerem czterdziestym lub dalej, byłam z jakimś poleceniem od "Cleńki" . Dowiedziałam się później, że właśnie na Krowoderskiej była piekarnia lub prywatnie wypiekano pierniki i inne słodkie pieczywo dla leśnych naszych oddziałów.

Chodzę po schodach starych i nowych krakowskich kamienic. Odwiedzam ulice i stare uliczki Krakowa. Byłam nawet raz w aptece z jakimś poleceniem. Nigdy nie spotkałam się z niechęcią lub brakiem życzliwości w mojej pracy akowskiej ! Najbardziej jednak lubię moje kolporterskie spotkania z "Inką".

Mam coraz mniej czasu dla siebie. Front wschodni już na polskich ziemiach. Lwów zajęty przez wojska sowieckie.

Na rozmyślania nie mam czasu. Szybko i smutno minął mi czerwiec. Dobrze, że choć tato jest z nami w soboty i niedziele. Bochnia gdzie pracuje nie jest daleko od Krakowa. Przyjeżdża więc do nas pociągiem co sobotę wieczorem a wyjeżdża w poniedziałek rano.

Nigdy nie wspominałam rodzicom o mojej pracy w konspiracji, ale wiem napewno, że wiedzieli o tym. Czy się tylko domyślali? Czy ojciec miał jakieś kontakty z AK? A może jedno i drugie?

Któregoś dnia w lipcu przyszedł do nas Kuba brat Jurka który w 43-im aresztowany przez Gestapo był w Oświęcimiu, a później został wywieziony do innego obozu w głąb Niemiec.

Kuba od czasu do czasu zjawiał się u nas ale tym razem nie przyszedł na pogaduszki ale pożyczył od nas małą walizeczkę tą którą u nas kiedyś widział. Jedzie bowiem w bardzo ważnej sprawie do Warszawy. Coś mnie wtedy zaniepokoiło i mówię - "Kuba czy ty naprawdę musisz jechać"? A Kuba jak to Kuba tajemniczo! "Muszę nie może nikt inny." Dostał walizeczkę i pojechał. W powrotnej drodze zgarnęło go Gestapo! Szczegółów nie znam. Po jakimś czasie matka Kuby dostała wiadomość, że Kuba w Oświęcimiu.

Pani Rutkowska matka Kuby i Jurka została sama z córeczką. Mąż jej w niewoli niemieckiej a dwaj synowie w hitlerowskich obozach.

Kończy się lipiec 44 roku. Dzień jest dla mnie za krótki. Dobrze, że od paru tygodni w niemieckiej firmie mamy często nocną zmianę. Odsypiam więc przepracowaną noc w dzień, trzy godziny i już cały dzień "wolny"

Pracy w konspiracji przybywa lawinowo. Oprócz codziennych odwiedzin "Oleki" na ul. Strzeleckiej i dostarczania jej prasy podziemnej, odbieram z różnych miejsc /np. z Pędzichowa/ i noszę pod wskazane adresy uszyte przez "peżetki" koszule, furażerki, szaliki, nauszniki, skarpety. Bodaj z ul. św. Tomasza pasy skórzane wśród nich dwa ~~pamięta~~ chyba oficerskie, bo z cieńkimi paskami na ramię. Pasy te były pamięta dość ciężkie.

Raz moje gapiostwo przyprawiło chyba konspiratorów z ulicy Zamenhofa o irytację. Miałam coś ważnego zanieść na tą ulicę. W małej paczuszce - mogły być kenkarty. W tym dniu pracowałam. Firma mieściła się na ul. św. Jana. Na krótki czas można było się z pracy "urwać".

O ustalonej porze pospieszyłam na ulicę Zamenhofa.

Spieszyłam się. Punkt konspiracyjny do którego szłam był w jednej z ostatnich kamienic przed ul. Radziwiłłowską, po lewej stronie idąc od Plant, na parterze. Wchodziło się do niego prosto z sieni, drzwi na prawo. Pokój ciemnawy, słabo oświetlony.

Zameldowałam to co poleciła "Oleńka". Wyjęłam z torebki przygotowane i położyłam na stole, to co miałam oddać. Szybko wyszłam.

Na ulicy zorientowałam się, że przypadkowo w tych ciemnościach razem z małą paczką, którą oddałam, wyjęłam również z torebki i zostawiłam na stole swoje dokumenty. Naturalnie wróciłam i dostałam je, ale było mi bardzo wstyd takiego karygodnego gapiostwa. Co sobie ci z ulicy Zamenhofska o mnie pomyśleli - na pewno, że taka jakaś rozdartniona smarkula! /Zawsze wyglądałam na mniej lat niż miałam! /

Do samego wieczora byłam niepokieszona. Następnego dnia nie miałam już nawet czasu o tym moim "głupim potknięciu" myśleć. Ale ku przestrodze od czasu do czasu to "potknięcie" sobie przypominałam.

Było upalne popołudnie gdy w którąś lipcową niedzielę szłam z naszym tatą przez ulicę Lubicz. Rozmawialiśmy. Rzadka to dla mnie gratka porozmawiać z ojcem. Do Krakowa przyjeżdżał tylko na niedzielę.

Szliśmy właśnie chodnikiem po przeciwnej stronie "Białego Domku" * gdy tato złapał mnie za rękę - "Zosiu uciekajny bo zaraz będą strzelać"!

Co się stało? Otóż od wschodniej strony miasta od dawnego fortu nadjechała furmanka widocznie "podwoda" bo za furmanką szedł niemiecki żołnierz z wermachtu, prawdopodobnie oficer. U pasa na rzemieniu zwisała mu "spluwa". Był bez czapki i bez marynarki w wojskowych spodniach i wojskowych butach ale zamiast marynarki miał białą koszulę. Tato jak mi potem mówił już od chwili obserwował tę furmankę i Niemca idącego za nią. Zauważył go również stojący na warcie przed "Białym Domkiem" - gestapowiec! Coś krzyknął i z budynku wybiegł drugi gestapowiec z wyciągniętym rewolwerem podbiegł do niemieckiego oficera wrzeszcząc coś okropnie na niego po niemiecku. Zmęczony żołnierz niemiecki błyskawicznie złapał swoją "spluwę" wiszącą mu u pasa i mierzy do gestapowca! Tak mierząc do siebie kłócili się zajadle po niemiecku! Żołnierz widać ten "pojedynkę" wygrał bo gestapowiec ustąpił a furmanka pojechała dalej w stronę dworca.

* w nim "urzędowało" - Gestapo!

Wiedzieliśmy , że żołnierze niemieckiego wermachtu na ogół nie darzą sympatią gestapowców, ale pierwszy raz widziałam gwałtowną uliczną kłótnię między niemieckim żołnierzem prawdopodobnie frontowym a gestapowcem, popartą z obu stron groźbą użycia broni.!

W Warszawie powstanie ! Nasi walczą w Warszawie !

Oleńka poinformowała mnie, że muszę przejść obowiązkowe przeszkolenie wojskowe dla "peżetek". Kurs na instruktorki PŻ-tu. Sprawa pilna, kursy są przyspieszone. Część "peżetek" już je skończyła. Dla mnie zaczynają się 11 sierpnia. Zajęcia będą się odbywać przez cały dzień. Przed i po południu. - " A moja praca "? - pytam. "To już twoja sprawa Safonko" - podpowiada "Oleńka". I jakby na usprawiedliwienie - "Sytuacja jest naprawdę bardzo poważna !

Co robić ? Muszę i już! Coś wykombinuję, na razie nie mam czasu o tym myśleć.

Dostaję na przechowanie uszyte przez "peżetki" setki biało-czerwonych opasek i trochę odznak PŻ-tu, które polecono mi u siebie na razie przechować. Odbieram również i odnoszę w umówione miejsca uszyte plecaki. Jeden z nich mam zostawić sobie. Może być potrzebny.

Są przygotowania do powszechnego powstania !

Niemcy w Krakowie u wylotów niektórych ulic i na rogatkach miasta pobudowali duże betonowe zapory przeciwczołgowe. Walki w okolicach Dębicy. Wojska sowieckie zajęły Pragę - dzielnicę Warszawy na prawym brzegu Wisły.

Z panem Zdzisławem ("Leonkiem" ?), starszym siostrzeńcem "Oleńki" idziemy sprawdzić stan zapasów żywnościowych zgromadzonych w Krakowie, na wypadek powstania. Idziemy do klasztoru OO Kapucynów przy ulicy Loretańskiej. Zgromadzone tam są zapasy żywności - w większości dary okolicznego ziemiaństwa.

Gdyby co - wiemy tylko, że są to zapasy przeznaczone dla RGO. Ja mam iść razem z p.Zdzisławem, bo jak się wyraziła "Oleńka" czas dla młodych zwłaszcza mężczyzn niebezpieczny a w towarzystwie dziewczyny - chłopak mniej podejrzany.

Patrole żandarmerii i Gestapo na ulicach częste. Jednak do klasztoru docieramy bez przeszkód. Furtę otwiera nam braciszek kapucyn. Wchodzimy na mały podworec. Pan Zdzisław idzie do przeora klasztoru załatwić pozwolenie na kontrolę zapasów.

Czekam na podworce i rozglądam się. Braciszek który otwierał nam furte znikł. Podworzec wybrukowany. Od ulicy mur wysoki. Po prawej kościółek a na wprost i po lewej budynki pewno gospodarcze.

Wraca pan Zdzisław. Idziemy do budynku po lewej stronie. Towarzystwo nam inny braciszek kapucyn.

Wchodzimy do obszernego pokoju na parterze. W pokoju tym istne składowisko. Pełno wypełnionych worków. Załadowanych czymś skrzyń, skrzynek, większe lub mniejsze jakieś paczki, puszki.

Pan Zdzich sam zabiera się do spisu tego wszystkiego. Pytam czy mu pomóc? Odpowiedz brzmi - nie! Nie, to nie! Siadam sobie na jakimś wysokim krześle, że nogami ledwo sięgam podłogi. Na podobnym krześle obok siada braciszek i tak siedząc w milczeniu, obserwujemy akrobacje pana Zdzicha między skrzynkami, workami i bliżej nie określonymi paczkami. Trwa to dość długo! Nie na to nie poradzę. Braciszce pewno też się znudziło. Czuję, że przygląda się mnie i po chwili dość nieoczekiwanie pyta - czy się nie boję? Ale czego? - odpowiadam pytaniem na pytanie. - Przecież to żywność dla RGO. Braciszek o nic już nie pyta. Może czuje się urażony? Może wie dla kogo te zapasy? Może się domyśla? Trudno! Okłamałam braciszka! i to kapucyna. Trudno taki jest czas i uśmiechnęłam się do zamysłonego braciszka.

6 sierpnia 44-go roku. Czarna niedziela. Żapanki na ulicach Krakowa, w tramwajach, w lokalach a nawet wygarniali ludzi z ich - mieszkań!! Była to niemiecka prewencja w Krakowie po wybuchu Powstania w Warszawie.

Wszystkich złapanych umieścili w piaszowskim obozie. Dokładnej liczby trudno było ustalić.

Zbliża się 11 sierpnia - termin rozpoczęcia kursu PZ-tu na który mam uczęszczać. Kurs jest przyspieszony zajęcia trwają dzień po dniu przez ponad tydzień. W rachubę wchodzi tylko zwolnienie lekarskie z pracy. Ale jak je zdobyć?

Poza tym żeby można było chodzić ale być niezdolnym do pracy! Wymyśliłam - Młotkiem do ubijania mięsa, zaczęłam tłuc prawą dłoń. Mama zaprotestowała. - "Co ty robisz rękę sobie naprawdę uszkodzisz"! Trudno nie mam innego pomysłu. Pomimo

mojego wysiłku i naprawdę dużej determinacji, bo bolało bardzo, ręka wciąż wyglądał prawie normalnie. Trochę się tylko zaczerwieniła. Zmartwiona zrezygnowałam. Dopiero po jakimś czasie okazało się, że pomysł choć niezbyt mądry, okazał się skuteczny. Dłoń prawej ręki spuchła, zaczerwienienie powiększyło się a w nocy to już nie mogłam spać.

Rano poszłam do lekarza. Ręka mówiąc oględnie wyglądała niepokojąco. Dostałam zwolnienie na tydzień.

Miało to też dobre skutki dla mnie na samym kursie. Nie musiałam bowiem uczyć się robienia zastrzyków a uczyliśmy się na sobie.

Kurs skończyłam. /Dostałam podobno przydział - naturalnie w razie potrzeby - do rejonu Polski południowej, na front wschodni./

W pracy nie miałam żadnych kłopotów. Ominął mnie nawet dwukrotny wyjazd na tak zwane "okopy". Ręka szybko dobrzała.

W Warszawie ciężkie walki, powstanie trwa. Front wschodni na południowych naszych terenach stanął w okolicy Dębicy. Tam walki tylko pozycyjne.

Mamy nadzieję, że wojsko radzieckie, jako sojusznicze, - wesprze w jakiś sposób warszawskich powstańców. A mama moja ciągle swoje - " Nie liczcie na bolszewików oni nam nie pomogą" !

Niestety miała rację ! *

* - Po wojnie opowiadał nam nasz wujek Marian, który w tym czasie mieszkał z naszą babcią na wschód od Warszawy w Adamówce koło Mobyłki / i Wołomina/ (Jadzia była u nich w lecie 42 roku), że wojsko radzieckie, które zajęło podczas letniej ofensywy w 44-ym roku te miejscowości, już po wybuchu powstania w Warszawie wycofało się z tego terenu po cichu bez walki pewnej nocy. A wujek Marian mało tego życiem nie przypłacił! Marian, który maturę zdawał jeszcze za caratu, znał dobrze rosyjski i często rozmawiał z radzieckimi żołnierzami. Gdy któregoś dnia (w Warszawie trwało powstanie) wyszedł wczesnym rankiem do ogrodu w porannej mgle zobaczył idącego przez ogród żołnierza. Zagadnął do niego po rozyjsku. A był to niemiecki żołnierz. Doskoczył do wujka z bronią. Na szczęście Marian niemiecki też znał. No i był w piżamie.

W końcu sierpnia a może na początku września "Oleńka" ma dla mnie, oprócz tych "codziennych", nowe zadanie: przetransportowanie jakiegoś chłopca bez dokumentów z odległej dzielnicy Krakowa (z ulicy Fałata) do naszego mieszkania na ulicę Lubomirskich oraz przechowanie go przez parę dni aż dostanie "papiery" i będzie okazja do odtransportowania chłopaka do leśnych oddziałów AK!

Właściwie nic takiego, bo wszystko odbyło się bez najmniejszych zakłóceń. Jednak wykonanie tego zadania było dużo trudniejsze, niż przypuszczałam.

Już przy omawianiu szczegółów tej "operacji", wydawała mi się trochę przesadna tak daleko idąca ostrożność.

Zostałam zobowiązana, że po tego przyszłego mojego podopiecznego zgłoszę się dokładnie w oznaczonym dniu, między tą a tą godziną, o innej porze nie mam prawa tam się zjawić. Muszę iść na pierwsze piętro ale nie frontową klatką schodową, tylko od podwórka schodami kuchennymi. Mam zapukać do drzwi kuchennych trzy razy po trzy z przerwami i czekać. Jak się drzwi otworzą nie wchodzić, o nic nie pytać, tylko powiedzieć umówione hasło i dalej na schodach czekać.

Dawno już przestałam się czemukolwiek dziwić w ten okropny wojenny czas. Byłam zresztą od wykonywania rozkazów, a nie od zastanawiania się nad nimi. Poszłam więc na ulicę Fałata w odpowiednim dniu, dokładnie o umówionej godzinie, pod wskazany numer.

W sieni kamienicy minęłam schody frontowe, wyszłam na podwórko i kuchennymi schodami weszłam na pierwsze piętro. Nie spotkałam nikogo po drodze, ani w sieni, ani na podwórku ani na schodach.

Do drzwi zapukałam w umówiony sposób i czekam. Po dłuższej chwili uchyliły się drzwi. W wąskiej szparze na wysokości moich oczu zobaczyłam pół brody, pół nosa i jedno oko, a nad nim chyba trochę siwych włosów. Szepnęłam w tą szparę umówione zdanie. Usłyszałam w odpowiedzi westchnienie jakby ulgi z nutą pretensji: - No nareszcie !-i krótki rozkaz :-Czekać!.- Szpara w drzwiach się domknęła.

Oparłam się plecami o mur domu i czekałam rozglądając się dookoła. Schody drewniane, ale solidne. Po drugiej stronie rzędu kamienic, za podwórkami, pacele nie zabudowane, wokół cisza, spokój, nikogo!

Po kilku minutach drzwi się otworzyły na tyle, że mógł z nich wyjść chłopak i momentalnie się za nim zamknęły.

Popatrzyłam na mojego podopiecznego. Ogarnęło mnie przerażenie ! Stał przede mną chłopak może siedemnasto - osiemnastoletni, mizerny, w obdartym, brudnym, roboczym ubraniu. Spojrzałam na jego buty. Były w okropnym stanie. U jednego podeszwa odchodziła od cholewki. Czarne włosy, czarne oczy, blada cera i ten nikły uśmiech bezradności. I zrozumiałam stała się nagle dla mnie ta przesadna, jak myślałam, ostrożność dotychczasowych opiekunów chłopaka. Boże, jak ja go bezpiecznie przeprowadzę przez całe miasto.

Schodzimy powoli po schodach. - Zosiu, tylko nie wpadaj w panikę - rozkazuję sobie w myśli. - Musisz zdecydować szybko ! Plan, który sobie ułożyłaś, spacerkiem bocznymi uliczkami, nieaktualny. Zostaje tylko tramwaj i tylko piątka, która jedzie do końca ulicy Lubicz i na pętlę po lewej stronie fortu u wylotu "naszej" ulicy Lubomirskich. Tak, ale piątka jedzie koło "Białego Domku", gdzie rezyduje gestapo. Trudno, ryzykuję, nie mam innego wyjścia. Boże Mój, miej nas w opiece !

W bramie, przed wyjściem na ulicę, krótko tłumaczę chłopakowi, co ma robić. Przede wszystkim na ulicy ma iść parę kroków za mną. Jeżeli wychodząc za róg ulicy obrócić się do niego, ma natychmiast wejść do najbliższej bramy i tam czekać na mnie. W tramwaju, którym pojedziemy, ma stać tuż za mną. Jest prawie mojego wzrostu.

Przemykamy przez puste ulice i jakieś puste place. Byle do tramwaju. Wiedziałam z opowiadań mojej koleżanki, Hani Srokowskiej, z którą chodziłam w latach 41-43 na tajne komplety maturalne, że duża część pracowników tramwajowych to przedwojenni studenci "Jagiellonki". Liczyłam na to, wybierając w pośpiechu sposób przedostania się na drugi koniec Krakowa z tak niebezpiecznym podopiecznym.

W tramwaju, jak zwykle na pierwszych odcinkach linii, mało pasażerów. Do przedziału nie wchodzę, stoję na pomoście. Za mną w kącie pomostu staje chłopak. Zasłaniam go od pasażerów siedzących w przedziale.

Kupując dwa bilety patrzę uważnie na konduktora, a i on uważnie przygląda się mnie i chłopakowi. Idzie do przedziału i obsługuje innych pasażerów, ale przed następnym przystankiem wraca do nas na pomost. Zasłania sobą chłopaka i mnie przed wchodzącymi do tramwaju. Powtarza się to przy każdym kolejnym przystanku. Jaka ulga ! Patrzę z wdzięcznością na tę młodą, myślącą, mądrą twarz. Zrozumiał sytuację i bez słowa, bez zbędnego gestu pomógł nam. Pomógł człowiekowi, który był przecież w śmiertelnym zagrożeniu.

Pomoc tego nieznanego konduktora była na tyle dyskretna, co i skuteczna. Przejechaliśmy koło "Białego Domku" i dojechaliśmy do końcowej pętli. Wysiedliśmy z tramwaju ostatni. Mijając "naszego" konduktora powiedziałam wyraźnie - Dziękuję! - Uśmiechnął się i machnął niedbale ręką, jakby chciał powiedzieć, to przecież nic takiego !

Idziemy ulicą Lubomirskich. Tu już jesteśmy prawie bezpiecznie. Zaraz za murem po prawej stronie w pięknym przedwojennym schronisku dla Chłopców, fundacji Lubomirskich są obecnie koszary niemieckie i bardzo rzadko zapuszczają się tu gestapowskie patrole. Wreszcie nr 27 - jesteśmy na miejscu. Mieszkamy na drugim piętrze. Chłopaka oddaję w mamy ręce.

Do pracy idę na drugą zmianę, więc mam jeszcze trochę czasu, mogę wstąpić po drodze do "Oleńki" i zawiadomić ją, że zadanie wykonałam, chłopak jest już u nas i trzeba mu oprócz dokumentów, pilnie - ubrania, bielizny, butów. O szczegółach transportu chłopca ani słowa, bo i po co ? Zresztą nie ma czasu !

Wieczorem po pracy siadłam z mamą na chwilę rozmowy. - Chłopak będzie u nas parę dni - tłumaczę mamie - dadzą mu dokumenty i pójdzie do partyzantki. - Był cały zawszony - mówi mama - wszystko, co miał na sobie, musiałam wsadzić do baniaka na bieliznę i gotuję. Biedny chłopiec! - Wykapał się w łazience, kazałam mu octem zmyć włosy, a teraz śpi w służbówce - dodaje mama. - Mówił ci, skąd jest? - spytałam. - Twierdzi, że jest szoferem z Warszawy, a właściwie z Pragi. O nazwisko i imię nie pytałam, bo i nie ma po co. Jak dostanie dokumenty to będziemy wiedzieć. Zrozumiałam. Mama nazwała go Maniek! Ani słowa skargi ani wymówki, że miała tyle kłopotu z chłopakiem ani cienia niechęci do niego ze strony mamy ! Sama nie najlepiej się czuła a u nas coraz częściej zaczęli zjawiać się "goście", którzy wymagali pomocy !

Nasz Maniek powoli się oswajał. Już nie był zalekziony, milczący. Zaczął nawet żartować. Raz w rozmowie z Hanią powiedział - bo ja jestem taki "myszygene" . Najchętniej jednak "urzędował" z mamą w kuchni. Przy niej widocznie czuł się bezpiecznie. Siostra moja Hania i ja pracowałyśmy i najczęściej nas w domu nie było. Wprawdzie w tymże mieszkaniu, które zajmowaliśmy, mieszkało jeszcze w jednym pokoju - tak jak my ze Zgierza - bezdzietne

małżeństwo oraz w drugim dwie starsze panie, pani Maria i jej siostra z Warszawy, ale mieliśmy do naszych współlokatorów pełne zaufanie - tak było do końca wojny.

Maniek czuł się u nas coraz lepiej. Myślę, że nas polubił ale chyba najbardziej moją mamę. Jeszcze jako młoda panna, była nauczycielką. Nauczycielką, która lubiła swych uczniów bez wyjątku, a była to młodzież nie tylko polska. Do gimnazjum chodziły również dzieci niemieckich, jak również i żydowskich przemysłowców. Uczniowie nie tylko ją lubili ale i pamiętali o niej w swym dorosłym życiu. Mogłyśmy się o tym przekonać w najcięższych dla nas chwilach w 39 i 40 roku (opisanych w moich "zgierskich wspomnieniach").

Przygotowania do wyjazdu Mańka przeciągały się. Był u nas już ponad tydzień, gdy wróciwszy pewnego dnia z pracy, dowiedziałam się, że nasz Maniek - Myszygene, jak się sam siebie nazwał, właśnie pojechał do "lasu". Dostał specjalnie dla niego przygotowaną kennkartę oraz buty, ubranie a nawet bieliznę. - Zupełnie przyzwoicie wyglądał - zapewniała mama.

Nie pytałam "Oleńki", kim był Maniek. Może i ona nie wiedziała ?. Czy to nie wszystko jedno kim ? - był po prostu człowiekiem potrzebującym pomocy, a później żołnierzem Armii Krajowej. To napewno!

W parę dni po wyjeździe Mańka do lasu, wracałam z pracy do domu. Na rogu ulic Pijarskiej i Szpitalnej tuż przed Plantami zaczepił mnie chłopak - wyrostek, chyba w wieku Mańka. - Wracam z Niemiec z robót do domu, nie mam pieniędzy na bilet. Czy mógłbym poprosić?

Popatrzyłam na chłopaka nie wyglądał na krętacza. Wyciągnęłam szybko portmonetkę, wysypałam chłopakowi do ręki wszystko co w niej było. - **Widzisz** mało tego, ale na połowę biletu może ci starczy ! -

Opowiedziałam o tym "Oleńce" gdy do niej jeszcze wstąpiłam. - "Safonko" - powiedziała "Oleńka" - szkoda, że go nie przyprowadziłaś. **My** się takimi właśnie chłopcami opiekujemy -.

Było więc jasne, że akcja z Mańkiem nie była sprawą przypadku ale była zorganizowaną pomocą dla takich jak on.

X Potwierdzenie tej działalności znalazłam w opracowaniu p.t. "Dzieje Krakowskiego Peżetu" pracy zbiorowej z roku 1982 /w rękopisie/ autorzy: Waleria Czarniecka-Piłatowa ps.Inka; Anna Stryjeńska-Syrzistie ps.Monika; Irena Matykiewicz-Tabeau ps.Irena; Helena Wróbel-Ziemba ps.Dala.

Na str.75 tej pracy cyt. - "Oleńka" zorganizowała opiekę nad 33 osobami pochodzenia żydowskiego. Odpowiedzialną za całość tej akcji była "Agata". Na str.74 cyt. - Kennkarty były oparte na prawdziwych metrykach urodzenia, których dostarczali księża, głównie kapelani AK (dotyczyło to przede wszystkim fałszywych papierów dla przechowywanych przez PŻ Żydów.

Wrzesień 1944-go r. Z Warszawy wiadomości coraz tragiczniejsze. Powstanie trwa dalej dzięki bohaterstwu nie tylko powstańców, ale również mieszkańców całej Warszawy.

Wbrew moim nadziejom, że powstańcy jednak dotrważą do czasu wznowienia ofensywy przez armię czerwoną, tato nasz, który widać był lepiej poinformowany o sytuacji, oświadczył mi z goryczą, że owszem front wschodni ruszy ale dopiero po upadku Powstania .

My młodzi z AK chcieliśmy iść z pomocą Warszawie. Jeszcze mieliśmy nadzieję, jeszcze się łudziliśmy - wbrew wszystkiemu. Ale starsi widać wiedzieli więcej niż my.

Tymczasem w Foto-copi, firmie gdzie pracuję oficjalnie, jesteśmy zatrudnieni chyba już od miesiąca przy filmowaniu całych kartotek polskiej ludności Krakowa, przynoszonych przez urzędniczki - Niemki z niemieckiego urzędu ewidencyjnego. I tylko w ich obecności możemy je filmować. Filmy wywołane i wysuszone zabierają podobno do niemieckiego archiwum.

Nasz szef - Niemiec, którego nazywamy Walter (nie mam pojęcia czy to nazwisko czy imię?) podobno inwalida wojenny z kampanii w 40 -tym roku we Francji, wobec nawału pracy zarządził nam pracę na trzy zmiany. Przyjął do pomocy trzy osoby między nimi młodszego brata jednej z pracownic - Januszka, który okazał się bardzo sprytnym chłopcem. Wszyscy też dostaliśmy zezwolenia na przebywanie po godzinie policyjnej, ale tylko do dziesiątej wieczór poza domem.

Walter rozkazał nam, gdy jesteśmy na nocnej zmianie - zamknąć się od środka i nikogo nie wpuszczać, nawet jeśli by to była niemiecka policja ! Walter nie znał polskiego ale miał do pomocy mówiącą dobrze po niemiecku, wysiedloną z Poznania , starszą od nas Poznaniankę.

Raz wydało się, że nasz szef w niedzielę przychodzi do firmy i coś filmuje jak nikogo z nas nie ma. Może wtedy filmuje jakieś tajne dokumenty ? Pewnego bowiem poniedziałku rano, zanim szef przyszedł do pracy stwierdziliśmy, że aparat filmujący jest niesprawny. A w sobotę działał dobrze, bo ostatnie wtedy robione filmy były dobre. Co robić ? Będziemy musiały zostać na popołudnie i nadrabiać stracony czas. A ja przecież po południu mam inną "pracę".!

Januszek nie daje za wygrane. Przyszedł do mnie, z pomysłem by razem sprawdzić co się mogło popsuć w aparacie, że nie ciągnie taśmy filmowej. Kręcimy bowiem jak zawsze korbką a taśma filmowa w aparacie nie przesuwają się. Trzeba sprawdzić. Sprawdziliśmy we dwoje.

Okazało się, że usterka naprawdę mała. Urządzenie ciągnące taśmę filmową nawet się nie przerwało, tylko jedno ogniwo łańcuszka rozluźniło się i odczepiło od następnego. Usterkę tą z Januszkiem szybko naprawiliśmy.

Robota szła normalnie gdy przyszedł Walter. Zobaczywszy nas przy pracy zaczął na nas krzyczeć (jak to Niemcy potrafią) po niemiecku - Co robicie ? Nie widzicie, że aparat zepsuty itd !

A więc wiedział, on sam w niedzielę na nim musiał pracować! Januszek był przerażony. Wytłumaczyłam Niemcowi jak umiałam, że usterka była drobna i sami ją usunęliśmy. Szef zaniemówił z wrażenia. Popatrzył na nas jakby zaskoczony i zdziwiony.

Opowiadała nam potem nasza Poznanianka, że Walter już dzwonił do Berlina o pomoc techniczną a później ją odwołał.

Aparat działał bez zarzutu ! Januszek tymczasem wypatrzył schowane u szefa w biurku małe radio, którego widocznie szef słucha gdy sam jest w pracowni. Naturalnie zorganizował nam słuchanie radia na nocnej zmianie gdy byliśmy sami. Słuchanie Londynu odbywało się w ciemni gdzie wywołujemy filmy!

Ostatnie dni września. Jeszcze ciepło a ja się gdzieś zaziębiłam. Pewno na tych nocnych zmianach. Już wieczorem czułam się źle. Następnego dnia miałam coś po pracy ważnego do załatwienia. Poszłam do pracy. Jednak po pracy tak się źle czułam, że na siłę szłam by to coś ważnego załatwić. Gorączkę musiałam mieć wysoką. Pod Pocztą Główną gdy przechodziłam przez jezdnię nie mogłam głową ruszyć ani na lewo ani na prawo! Bolała mnie cała głowa łącznie z gałkami ocznymi ! Miałam coś jeszcze oddać na ulicy Smoleńskiej. Oddałam ale już wrócić do domu nie byłam w stanie. Na szczęście pamiętałam, że niedaleko na ulicy Felicjanek mieszka Lidka." Znałam ją tylko pod pseudonimem "Lidka" ale byłam u niej raz więc jakoś do niej dotrę. Lidka mieszkała u swojej znajomej starszej pani. Odwiozła mnie "Lidka" do domu dorożką. Nic nie pamiętałam.

Kochana Lidka, gdy przyszły chłodne jesienne dni podarowała

mi ładny futrzany kołnierzyk do mojej zimowej kurtki. Gdy zaprotestowałam, odpowiedziała - Będzie ci cieplej!, a na choroby nie ma teraz czasu! -

Październik - miesiąc dla nas tragiczny.

2- października Dowództwo Powstania podpisuje kapitulację. Powstańcy na prawach jeńców wojennych idą do niemieckiej niewoli a reszta mieszkańców opuszcza Warszawę!

Skończyło się bohaterskie Powstanie Warszawy. Tyle ofiar! Trudno nawet o tym myśleć.!

Początek tułaczki Warszawiaków. Pierwszą osobą która zjawiała się u nas prosto z powstańczej Warszawy była starsza siostra Wiktora (mojego szwagra) Irena Dziarkowska z mężem i kilkuletnią córeczką Basią. Całe dwa miesiące powstania przeżyli w Śródmieściu Warszawy. Pani Irena energiczna i zaradna osoba, opowiadała dużo o powstańczych przeżyciach. Niestety mało miałam czasu na słuchanie. Po dwu dniach Dziarkowscy przenieśli się do Jadzi i Wiktora na Podgórze /dzielnica Krakowa /.

Parę dni później zjawił się u nas, skierowany przez PZ - powstaniec z Warszawy, ze Starówki - Bogdan Kamiński. Ranny w Powstaniu obecnie rekonwalescent. Został "zakwaterowany" przez naszą mamę w małym pokoiku za kuchnią zwanym "służbówką". Z przerwami "mieszkał" w niej do stycznia 45 roku.

Następnie zjawiała się u nas pani Hanna. Nazwiska nie znam, też skierowana do nas przez PZ, przez "Agatę".* Pani Hanna była osobą inteligentną, spokojną, milczącą, około trzydziestoletnią, pochodzenia żydowskiego, również z Warszawy. Papiery miała z Pruszkowa, ze skierowaniem z tamtejszego szpitala na specjalistyczne leczenie do szpitala w Krakowie.

Z końcem października Bogdan Kamiński wyjechał do Warszawy po schowane gdzieś w ruinach swoje jakieś ważne dokumenty. Wyjechał na parę dni, jak mówił, a tu już prawie dwa tygodnie i go nie ma. Zaczynamy się martwić. Może go Niemcy, nie daj Boże złapali.

Była sobota. Tato nasz przyjechał z Bochni do nas na niedzielę jak zwykle. W nocy obudził nas chałas i dzwonek do drzwi. Słysząc ruch w całej kamienicy. Z mieszkań zgarniają Warszawiaków.!

Do naszego mieszkania przyszedł młody gestapowiec z dwoma starszymi Niemcami, umundurowanymi na tę noc - zwykłymi

* Zofia z Puzyńców 10 Myczkowska, 20 Morawska ps. "Agata"
ur. 25. II. 1895 r. zm. 7. II. 1980 r.

urzędnikami, jak się nam przedstawili, gdy gestapowiec wyszedł. Zanim jednak wyszedł sprawdził wszystkie dokumenty i kazał ubierać się pani Hannie. Wychodząc już spostrzegł w płaszczu naszego ojca wystające z kieszeni, ze "Społem" powielane druki. Były podobne z daleka do naszych akowskich powielanych "Wiadomości". Gestapowiec wyszarpał je gwałtownie z kieszeni i zaczął czytać. Potem wsadził je z powrotem i wyszedł. Jednak rozumiał po polsku a przed chwilą ani słowa nie rozumiał, gdy tłumaczyliśmy, że pani Hanna przyjechała tu do szpitala.

Gestapowiec poszedł, zostawiając dwóch starych Niemców, by dopilnowali i zabrali ze sobą panią Hannę.

Ojca siostra Hanka zaczęła tym starym Niemcom, trochę po polsku trochę po niemiecku tłumaczyć, że przecież chorą osobę nie mogą brać (w papierach miała - początki gruźlicy), ma już jutro zgłosić się do szpitala. Wszystko ma załatwione. Ponieważ przyznali się, że tylko na tę niedzielę zostali urundurowani a tak są zwykłymi cywilnymi urzędnikami, Hanka im oznajmiła, że ona też pracuje w niemieckim urzędzie, ma Niemca szefa, który jest porządnym człowiekiem, bodaj z Wiednia, itd. Pani Hanna powoli ubierała się.

W końcu jeden z Niemców dosłownie - machnął ręką na ubierającą się panią Hannę i poszli sobie!

Zaimponowała mi nasza Hanka. Ja bym tak nie potrafiła! Ku mojemu zdziwieniu pani Hanna ani słowem nie podziękowała naszej Hance za skuteczną obronę! Jedno było tylko wytknięcie. Pani Hanna jest "pamiętliwą" osobą i widać nie mogła Hance wybaczyć, że ta przy niej (nie wiedząc, że ona jest Żydówką), kiedyś sprawiła się krytycznie o krakowskich Żydach.

Ranek po tych nocnych emocjach, zjawia się pan Bogdan. Dlaczego tak długo przebywał w Warszawie? - Złapali go Niemcy i przez tydzień musiał im pomagać w burzeniu reszty nie zburzonej Warszawy! Ale najważniejsze - dokumenty o które mu chodziło znalazł i zabezpieczył.

Przyjechał późnym wieczorem do Krakowa. Była już godzina policyjna. Może by i ryzykował, bo od dworca do nas nie jest daleko, ale jak mówił nie chciał nas w nocy niepokoić. Szczęśliwie ominęła go łapanka! Na dworcu całą noc był wyjątkowy spokój!

Wojna choć ma się ku końcowi, jeszcze trwa. Jeszcze giną nie tylko żołnierze na frontach w krwawych walkach!.

W obozach niemieckich, na zesłaniach sowieckich zaginionych, rozstrzelanych, zakatowanych, zagłodzonych, uduszonych w komorach gazowych - nikt nie zliczy !!

Tragedia i poniewierka osób nam bliskich, znajomych i nieznajomych, całych rodzin, całych narodów ! Trudno myśleć o tym !

Katyń, katastrofa w Gibraltarze a ostatnio nasza Warszawa! - Polska gehenna ! Czy nie za wiele ?

Dobrze, że mamy "Olenkę" - naszą komendantkę - życzliwą a jednocześnie energiczną, wymagającą od nas dzielnej i odpowiedzialnej postawy w tym tak trudnym wojennym czasie. To bardzo mobilizuje i uspakaja. -"Wszyscy jesteśmy żołnierzami na froncie"- tak powiedziała "Olenka"

Kończy się listopad. Spotkałam Hanię Srokowską, uczęszcza na tajne wyższe studia, na medycynę. - "Jak się wojna skończy ja też będę studiować - oświadczyła - ale nie medycynę!" - "Dlaczego" ? - spytała Hania. - "Bo chorowałabym z każdym chorym pacjentem, a nie daj Boże gdyby - umarł!" " Tak się tobie tylko zdaje" - śmiała się Hania.

Krótkie dni grudniowe. Butrzany kołnierz, który od Lidki dostałam do mojej kurtki zimowej okazał się wspaniały. Gdy wieje mroźny wiatr - "stawiam" kołnierz i niech sobie wieje. - Hochana Lidka !

Wracam do domu po nocnej zmianie. Nie spieszę się. Jest sobota rano a po niej cała niedziela wolna! Do pracy dopiero w poniedziałek. Pogoda jesienno-zimowa. Pierwszy grudniowy śnieg stopniał i nic nie zapowiadało późniejszych, pamiętnych, styczniowych mrozów 45-go roku. Miałam jeszcze, jak co dzień, wstąpić tylko do "Olenki". Może ma coś dla mnie do załatwienia ?

Było już po godzinie 8-ej, gdy skręciłam z ulicy Lubicz na Strzelecką. Jak zwykle, idąc wolno, obserwowałam uważnie, czy przed kamienicą do której szłam nie dzieje się coś podejrzanego. Weszłam do kamienicy, zajrzałam na podwórko i zaczęłam powoli wchodzić schodami na górę. "Olenka" mieszka na ostatnim piętrze.

Zajmuje ze swą rodziną jeden pokój, do którego wchodzi się z klatki schodowej.

Zapukałam i weszłam gdy usłyszałam głos z za drzwi - otwarte ! - Oleńka z głębi pokoju kiwnęła na mnie niecierpliwym ruchem ręki. - " Safonko z nieba mi spadłaś. Konieczny wyjazd w teren ze sporym bagażem ! Potrzebne trzy osoby. Dwie są - Blanka, którą znasz i młoda dziewczyna, której nie znasz, trzecia natomiast nie może jechać. Musisz ją zastąpić. Jazda na dwa dni. Więc jak? - pyta Oleńka. Nie ma sprawy, jak trzeba to muszę!" - odpowiadałam. " O której mam się zgłosić i gdzie ? Tylko rodzicom dam znać ! Na szczęście dziś jestem już po pracy a jutro "Słuchaj Safonko" - przerywa mi Oleńka - "pociąg odjeżdża za 15 minut, to tyle co szybko na dworzec ! Rodziców zawiadomimy. Dojedziecie pociągiem do Tymbarku a później Blanka będzie wiedziała, gdzieś do szkoły, tam Blanka z tą drugą da radę a ty wracasz do Krakowa. Jeżeli nie spotkasz Blanki przed dworcem pod zegarem, to biegnij na peron do pociągu na Tymbark, tam je znajdziesz. No to do widzenia i bądźcie ostrożne !" - usłyszałam jeszcze głos Oleńki za sobą gdy przeciskałam się między łózkami do drzwi. A na schodach, żeby szybciej, w dół po poręczy jak za dawnych dobrych dziecinnych lat w Zgierzu !

Ze Strzeleckiej do dworca niedaleko, biegiem może 5 - 6 minut. Spojrzałam w Strzelecką - pusta ! Więc biegiem, ale już przez ulicę Lubicz szłam, tyle że szybko. Nie chciałam zwracać na siebie uwagi, a w okolicy "Białego Komku", gdzie rezydowało gestapo było niebezpiecznie.

Odcinek ulicy Lubicz od Strzeleckiej do wiaduktu kolejowego przeszłam w parę minut. Na wiadukcie schodami w górę i już jestem na dworcu !

Pod zegarem czekała Blanka z nie znaną mi przystojną młodą dziewczyną. Jak się później okazało, żoną jednego z poruczników leśnego oddziału AK, do którego jechały.

Nie było czasu na przywitania. Plecaki na plecy, bagaże ręczne do rąk i szybko na peron ! Pociąg był już załadowany do ostatnich granic. Ulokowałyśmy się przy samym wejściu. Dalej było zbyt ciasno. Wagony okropne^x, pamiętające chyba czasy Franc-Józefa, jak to

^x Polskie przedwojenne piękne pulmany, wycofywane na wschód w pierwszych miesiącach wojny w większości przechwycili sowieci.

xx ps. "Blanka" ~ narodziła mi się znam, po wojnie mi opothtem

często w Krakowie mówiono. Pociąg ruszył. O miejscach siedzących można było tylko marzyć. Nie rozmawiamy ze sobą udając, że się nie znamy i starając się nie zwracać na siebie uwagi.

Pociągi jeździły wtenczas powoli, wlokąc się beznadziejnie. Lokomotywa pchała przed sobą wagon załadowany po brzegi piachem ale nie było to pewne zabezpieczenie przed minami podkładanymi na torach przez partyzantów. Nasi jak już minowali to tylko przed transportami wojskowymi, natomiast partyzantka radziecka, która w ostatnich miesiącach zaczęła działać na Podkarpaciu była zupełnie beztroska i często zdarzały się zamachy na pociągi osobowe.

Byliśmy już daleko poza Krakowem, gdy Blanka¹ przesunęła się do mnie i do ucha mi szeptem - " Na wierzchu w workach i plecakach są pierniki. W razie czego wy mnie nie znacie ani ja was!"

Nie interesowało mnie co jest głębiej w plecakach, zawsze miałam za dewizę w takich sytuacjach wiedzieć jak najmniej. Byłam zmęczona i głodna. O piernikach to już wcześniej się domyślałam, wyczułam je nosem! Sięgnęłam do worka ręką - pierniki leżały luzem. Wyciągnęłam jeden. Chyba nie będzie dziury w niebie jeśli w lesie dostanę o jeden piernik mniej, a do końca jazdy jeszcze daleko. Obok mnie stała jakaś zabiedzona kobieta z małym dzieckiem na ręku, widać z dalekiej podróży. Dziecko głodne, bo obejrzało się na mnie gdy zaczęłam jeść piernik. Wyjęłam z worka dwa i dałam je kobiecie. Piernik był wspaniały! Kto je piekł? Na pewno na ul. Krowoñerskiej, gdzie jak pamiętam takie "konspiracyjne" wypieki dla lasu się odbywały.

Wagony turkotwały miarowo. Oparłam się o worek z "towarem" i przeniosłam się myślami daleko do mojego przedwojennego Szierza.

Jechałyśmy może 5, a może więcej godzin. Już zmierzchało gdy wyładowałyśmy się szybko i sprawnie z całym bagażem na stacji w Tymbarku. Teraz czekał nas najgorszy i najniebezpieczniejszy etap: przetransportowanie wszystkiego do punktu kontaktowego AK w Tymbarku, a później dalej poza Tymbark aż do szkoły w jakiejś miejscowości, o której wiedziała tylko Blanka². Mnie to nie powinno było interesować! I nie interesowało.

Pociąg znikł w ciemnościach ale słysząc go było jeszcze długo. Miasteczko Tymbark leżało powyżej stacji tak, że szłyśmy spory kawałek pod górkę, dobrze czując ciężar naszych bagaży.

Do punktu kontaktowego poszła najpierw sama Blanka."

Było już zupełnie ciemno, gdy ja i ta towarzysząca nam nie znana mi dziewczyna, w małej uliczce poniżej domów, czekałyśmy z bagażami na powrót Blanki. Tymbark i okolice zasypane śnieżnym, białym puchem. Lekki mróz. Parterowe domy z pozamykanymi okiennicami stały ciemne i ciche jakby wymarłe. tylko białe unoszące się nad kominami dymy, widoczne na ciemnym niebie nocy, dawały miłą świadomość życia, ciepła i przytulności schowanej w ich wnętrzu.

Po kilkunastu minutach wróciła Blanka. Punkt kontaktowy miałyśmy w rynku. Znajdował się w parterowym domku. Idąc od stacji kolejowej, stał on po lewej stronie rynku. Blanka z częścią bagaży poszła pierwsza, a po jakimś czasie my dwie z resztą naszych pakunków. Było ciemno, wydaje mi się jednak, że domek miał mały ganek, przez który wchodziło się do równie ciemnej sieni. Z sieni weszłyśmy do obszernej już izby ale z okiennicami na głucho pozamykanymi. Po środku izby stał stół a pod ścianą jakieś olbrzymie łoża drewniane, niby kojce. Byłam tak zmęczona, że tylko myślałam by wyciągnąć się na nich choć na chwilę. Przyszedł do nas jakiś pan w średnim wieku bardzo miły i serdeczny. Ktoś przyniósł nam ciepłego mleka, po którym ogarnęła mnie jeszcze większa senność a raczej pół sen. Siedziałam, coś jadłam, piłam mleko i spałam. Byłam po całonocnej pracy, po kilkugodzinnej jeździe w półotwartym wagonie.

Do rozmowy, która toczyła się przy stole nie włączałam się nawet nie wiem o czym mówiono. Do mojej świadomości dotarła tylko jej część, gdy zrozumiałam, że to nie dotyczy. Otóż nasz rozmówca okazał nieukrywaną dezaprobatę, że ja jadę do lasu. "Jeszcze tam potrzeba dziewcząt i to takich młodych". Usłyszałam jego niezadowolony głos: No tak! - pomyślałam - dobrze, że był uprzejmy nie powiedzieć - "takich smarkul". Do Blanki nie miał pretensji, widać wyglądała na starszą. Uspokoił się gdy wyjaśniłam, że nie jadę do lasu ale wracam do Krakowa co Blanka potwierdziła. Chciał bym zaraz wracała a nie jechała dalej - "bo przecież we dwie dacie sobie radę". Tu już się trochę rozbudziłam i oznajmiłam, że mam polecenie doholowania moich

* Być może, że domek w którym miałyśmy punkt kontaktowy w Tambarku należał do kogoś, kto pracował w Zakładzie Przetwórstwa Owocowego "Społem" w Tambarku. Kiedyś w rozmowie z moim ojcem, który też pracował w "Społem", coś mi się na ten temat skojarzyło.

koleżanek do szkoły gdzieś poza Tymbarkiem a potem mnie już nic nie obchodzi, wracam zaraz do Krakowa. Uspokoilo to naszego "opiekuna", tak że poweselał i do końca naszego u niego pobytu był bardzo miły.

Blanka popędziła załatwić konie z wozem - na podwoję dla nas i naszych bagaży do tejże szkoły.

Był późny wieczór, ciemny, bezksiężycowy gdy załadowałyśmy się na wóz. Woźnica młody, wesoły chłopak przyglądał się nam z zainteresowaniem ale o nic nie pytał. Do szkoły przyjechaliśmy bez przeszkód. Jak długo trwała ta jazda nie jestem w stanie sobie tego uświadomić. Czas mijał jakby w półśnie. W mojej świadomości pozostał tylko mijany przez nas po lewej stronie w śnieżnej ciemności cmentarz, a potem już nic ! W szkole do której przyjechaliśmy spałam w jakiejś klasie na podłodze między ławkami. Wydawało mi się, że mysz chodziła koło mnie. Słyszałam, jeszcze głosy Blanki i żony porucznika, wychodziły i przychodziły, a potem już nic.

Rano obudziła mnie starsza pani. Moich towarzyszek już nie było. W nocy przyjechali po nie chłopcy z partyzantki. A ja po smacznym śniadaniu ruszyłam w powrotną drogę. Do Tymbarku doszłam koło południa. Miałam szczęście, że idąc do pracy w piątek wieczorem ubrałam solidne sportowe buciki jeszcze przedwojenne, jednej ze starszych moich sióstr.

W kościele przy rynku - słyszę - odprawiana jest msza święta, naturalnie, przecież dzisiaj niedziela ! Pociąg do Krakowa dopiero za dwie godziny. Weszłam do kościoła. Stałam w kącie przy drzwiach wejściowych. Boże ! minęło mi właśnie już pięć lat wojny. Oby ostatnim wojennym był ten rok, proszę Cię Panie ! By wszyscy wrócili do do swych rodzinnych domów, proszę Cię Panie!...

Msza się kończyła. Powoli więc, jeszcze przed tłumem wiernych wycofałam się z kościoła, obeszłam wokół ranek i wolno zaczęłam schodzić drogą w dół w stronę stacji kolejowej. Wtem po przeciwnej stronie stacji, a raczej za stacją na zboczu góry / stacja była niżej/ coś zaczęło błyskać i echo wystrzałów odbijało się od zaśnieżonych sąsiednich zboczy. Błyski i huk coraz częstsze. Bitwa - przemknęło mi przez myśl. Kto z kim walczy ? Nagle wystrzały wydały mi się tak blisko, że instynktownie w momencie znalazłam się w rowie, w śniegu po kolana. nie zauważyłam młodego człowieka idącego za mną. Gdy

zrównał się ze mną powiedział wesoło. - "Proszę się nie bać to daleko strzelają ! Partyzantka sowiecka prawdopodobnie chciała dotrzeć do torów i nadziali się na Niemców". Z zażenowaniem wyszłam z rowu. Było mi wstyd. Przeszłam bowiem wraz z rodziną ciężkie chwile na froncie kutnowskim w 39 roku, a tu boję się strzałów z tak daleka !

Do stacji szłam nie spiesząc się. Bitwa ucichła. Słońce zachodziło za góry. Krótki grudniowy dzień miał się ku końcowi.

Wsiadając do pociągu zauważyłam, iż ów nieznajomy młody człowiek właśnie wsiada do tego przedziału do którego i ja chciałam wejść. Wszłam do innego.

Był już późny wieczór gdy pociąg dowlóknął się do Krakowa. W domu niepokoiili się o mnie całą noc. Wiadomość, że musiałam nagle wyjechać dostali dopiero w niedzielę rano. Ktoś nie zdążył przed godziną policyjną dać rodzicom znać. Dobrze, że choć tato zawsze przyjeżdżał w sobotę na niedzielę (pracował w Bochni w "Społem") więc mamę pocieszał i twierdził, że pewno liczyłam się z możliwością wyjazdu, bo wzięłam te przedwojenne sportowe buciki.

Opowiadała mi później "Oleńka", że żona porucznika zgubiła w wozie, którym jechałyśmy z Tymbarku do szkoły zegarek. Poszły więc Blanka i żona porucznika z kimś kto chłopca znał (do naszego woźnicy) i tam w sianie, którym był wóz wymoszczony, znalazły ów zegarek a przy okazji dowiedziały się, że ten chłopak który nas przeszedł też należy do AK. Jednym słowem, gdzie się ruszyć sami nasi !

W tym czasie lub trochę wcześniej, przez parę dni nocowały u nas (na Lubonizwie) trzy sanitariuszki. Twierdziły, że są z Kielc. Miały jakiś parodniowy kurs lub coś w Krakowie załatwiały. Nie pamiętam kto ich do nas skierował, może "Agata". Jedną z nich była z Powstania Warszawskiego. Miała ona powyżej dłoni na prawej ręce przypadkowy pod skórą tatuaż z prochu - pozostałość po powstaniu. Byłyśmy raz w pokoju same i opowiedziała mi wtedy historię dość zagadkową. Było to jeszcze jak zrozumiiałam przed powstaniem. Znała dobrze dwóch braci jak się wyraziła - "Mołojców". Czy to był ich wspólny pseudonim, czy nazwisko, czy przyzwisko nie wiem. Tego nie powiedziała a ja nie pytałam. Otóż ci dwaj bracia "Mołojcy", czy jeden z nich, mieli pod opieką kogoś wyższego rangą ale nie z AK, który okazał się konfidentem gestapo. Bracia "Mołojcy" przekonali

się o tym gdy któregoś dnia podopieczny zrezygnował z ich ochrony i poszedł sam. Starszy z braci jednak nie posłuchał i choć z daleka ale szedł za nim. Okazało się, że jegomości poszedł prosto na Gestapo i po pewnym czasie wyszedł nie zatrzymany przez nikogo ! Wszystko to odbyło się w Warszawie. Bracia "Hołojcy" stwierdzili wtedy brak bardzo ważnych dokumentów i przekonawszy się, że je zaniósł na Gestapo wydał sami na niego wyrok, który wykonali ! Starszy pojechał gdzieś (może do Białegostoku - nie pamiętam) zameldować (komu ? nie mówiła), co się stało, a młodszemu bratu przykazał, - gdyby nie wrócił musi uciekać zmienić nazwisko i nie przyznawać się kim jest !

Owa sanitariuszka właśnie rozmawiała z młodszym z braci "Hołojców" przed jego "zniknięciem", gdyż brat jego starszy jednak nie wrócił. Nie miała żadnych wiadomości co się stało tak z jednym jak i później z drugim "Hołojcem".

Dlaczego ona mi to opowiadała? Może to ważne ? Kto był tym konfidentem ? Dlaczego opowiadała tę historię jak nikogo nie było i tylko mnie !? X

W czasie Świąt, jeszcze przed Nowym 1945-tym Rokiem (ostatnim wojennym jak sądzimy), po raz drugi jadę z paczkami świątecznymi dla leśnych oddziałów.

Tym razem punkt kontaktowy jest w Kalwarii Zebrzydowskiej u jednego kupca, właściciela sklepu bławatnego w rynku.

Jadę z panem Zdzisławem i pomocnikami - dziewczynką i dwoma chłopakami, których nie znam. Bagaży dużo. Każdy dostał swoją porcję i jedziemy. Na szczęście Kalwaria nie tak daleko, zdążyliśmy "obrócić" w jednym dniu. Był tylko jeden kłopot. Właściciel sklepu u którego mieliśmy zostawić paczki nie zgodził się by w paczkach były jakiegokolwiek liściki. Z panem Zdzisławem musieliśmy te liściki (pisane przez "peżetki") z paczek usunąć i spalić ! Zabrało nam to trochę czasu tak, że nie zdążyliśmy na pociąg, którym planowaliśmy powrót i którym wracali nasi pomocnicy. Następny którym wracaliśmy do Krakowa dojechał

X Skończyła się wojna. Upłynęło parę lat gdy jakiś u nas zakład został nazwany imieniem Marcelego Nowotki. Z podanego wówczas życiorysu Marcelego Nowotki domyśliłam się (choć nie podano naturalnie przez kogo i dlaczego został zamordowany), że to on był tym jegomościem, który został przez braci Hołojców zidentyfikowany jako konfident Gestapo i zlikwidowany. Niestety nie wiem co się stało z braćmi Hołojcami.

już po godzinie policyjnej. Na szczęście pan Zdzisław ma przepustkę na całą noc a ja do godz. 10-tej wieczorem. (w zimie godzina policyjna już od 7-ej wieczorem).

Dojechaliśmy do Płaszowa, a do samego Krakowa tramwajem. Tramwaj zupełnie pusty. W przedziale z nami tylko młody konduktor. W pewnym momencie macha na nas ręką byśmy schowali się między ławki. Stojąc na przednim peronie wypatrzył widocznie z daleka patrol niemiecki. Choć oboje mieliśmy pozwolenie na ten czas, bez słowa grzecznie się schowaliśmy ! Z ulicy widać siedzących pasażerów i patrol niemiecki zatrzymałaby tramwaj aby nas wylegitymować. A z nimi to nic nie wiadomo co może się im nie podobać !

Znów jeden z "naszych" pomyślał o konduktorze. Przyjemnie o tym się przekonać.

W pracy na nocnej zmianie, dzięki Januszkowi słuchany wiadomości z Londynu.

Mineło trzy niesiące od upadku Powstania Warszawskiego. W pierwszych dniach stycznia rusza ofensywa Armii Czerwonej, przzerwana zaraz po wybuchu Powstania w Warszawie. Tato nasz miał więc rację ! Jednak my młodzi cieszymy się. Starsi są bardziej ostrożni.

Mrozy dają się we znaki. Właściwie od początku stycznia siarczyste mrozy. Wisła stanęła lodem !

Jadzia z Wiktorom i mała Blźbietka są gdzieś koło Słomnik gdzie firma w której Wiktor pracuje buduje jakieś umocnienia. Martwiny się o nich !

Do Krakowa zbliża się front. Kraków prawdopodobnie będzie broniony bo wszystkie większe ulice u wylotów mają przygotowane betonowe zapory przeciwczołgowe.

"Lidka " wpadła na chwilę do nas, dowiedzieć się co u nas? Twierdzi, że mosty na Wiśle Niemcy pilnują, pewno będą zakładać miny. Ona sama dopiero co wróciła do Krakowa, przywożąc radiostację ! Opowiadała jak wiozła ten niebezpieczny bagaż. Odważna, zaradna, dzielna dziewczyna.

Pan Bogdan znów wyjechał na parę dni. Jego miejsce zajął w służbówce kolega Wiktora z pracy. Przyjechał do Krakowa ze Słomnik na jeden dzień i nie może tam wrócić bo tam już front i pociągi do Słomnik nie jadą.

Dzień później, w pracy poruszenie, wymieniamy między sobą ostatnie wiadomości. Potwierdza się wiadomość, że Armia Czerwona, zbliża się od północy do Krakowa. Zrobiliśmy krótką naradę - trzeba szefa - Waltera ostrzec, że Słomniki leżące niedaleko na północ od Krakowa już w rękach Sowietów i lada dzień mogą być w Krakowie. Reakcja Waltera na nasze ostrzeżenia była niefrasobliwa. Powiedział nam z uśmiechem - Jak Polacy zobaczą nad Krakowem jeden samolot sowiecki to powiedzą, że już Kraków Sowietci zajęli. - Trudno, jak zlekceważy nasze ostrzeżenie, sam sobie będzie winien. My mu źle nie życzymy. Choć Niemiec przecież też człowiek ! Jednak naprawdę dziwny jesteście narodem ! Pod koniec takiej strasznej wojny, której sprawcami byli Niemcy, kłopotujemy się losem jednego Niemca, którego przecież mało znamy !

Następnego dnia jestem w pracy na dziennej zmianie. Słyszemy dalsze i bliższe wybuchy ! Bombardowany jest Kraków. Trzęsą się mury i ze sklepień bardzo starej krakowskiej kamienicy przy ulicy Św. Jana, w naszej pracowni na parterze od wstrząsów odpadło tylko trochę nawet nie tynku a kilkuwarstwowej chyba białej farby, która sklepienia od stuleci może, były malowane ! Solidne mury starego Krakowa !

Szef do pracy nie przyszedł ale jak nam powiedziała nasza Poznanianka jest dalej w Krakowie

Ciemno już było gdy wracałam do domu. Koło Dworca pali się składy "Społemowskie", tam gdzie pracuje pan Zdzisław. Część z nich się topiała. Kraków w zupełnych ciemnościach. Miasto szczelnie zaciemnione. Ciemno, że "oko wykol", nic nie widać. Nawet księżyc na niebie nie widać.

Chcę jeszcze wstąpić na Strzelecką. A potem do domu. Co tam zastanę ?

Jakie było moje zdziwienie, gdy idąc po schodach do "Oleńki" spotkałam ją z całą rodziną, taszczącą toboły z pościelą na dół do piwnicy. Widząc moje zdziwienie "Oleńka" powiedziała - "Widzisz "Safonko" od wyspy gdy jest się ostrożnym można się uchronić ale od bomb sowieckich trudniej. Nie są celne a my jesteśmy tak blisko Dworca i torów kolejowych". Miała rację bomby sowieckie na szczęście nieliczne spadały w Krakowie nie na cele wojskowe ale - byle gdzie. Jednak na ulicę Strzelecką na szczęście nie spadła ani jedna !

- "Jak będzie jutro bardzo gorąco, - dodała "Oleńka" już na samym dole, - to nie przychodź aż się trochę uspokoi".

Omijając "Biały Domek" zauważyłam, że jego "lokatorzy" chyba go już opuścili ! Było jednak zbyt ciemno by to stwierdzić na pewno.

Uprzytomniłam sobie wtedy, że w ostatnich dniach nie widziałam na ulicach Krakowa żadnego gestapowca !

Teraz już prędko do domu. Na ulicy Lubicz tuż przy zakręcie w Rakowicką przed kamienicami na chodniku pełno szkła. Nawet go nie widać tylko chrupi pod butami. Widać gdzieś niedaleko spadła bomba i poleciały szyby z okien. Zaniepokojona skręcam szybko w Rakowicką. Na chodniku już nie ma szkła. Zwalniam kroku. Przy ulicy Lubomirskich wszystkie domy stoją. W domu wszystko w porządku. Czekali tylko niecierpliwie na mnie.

Zalepiamy okienne szyby długimi wąskimi paskami papieru na skos. Mamy też okna nie zamykać ale przymykać bo wtedy w razie silnego podmuchu (od bomby), tylko się otworzą ale szyby nie wylecą.

Tęgi mróz a my mamy okno uchylone. Idziemy spać do łóżek w płaszczach i szalikach na głowach, zdejmujemy tylko buty, Hanka ubrała sobie na ręce rękawiczki. Palimy w piecu, trochę pomaga ale przez uchylone okno mróz daje znać o sobie. Nie ma mowy o spaniu.

Wszyscy wiedzą, że Niemcy będą wysadzać mosty na Wiśle ! Ale kiedy przecież nikt nie wie więc czekamy.

Pierwszy most wyleciał w powietrze z wielkim hukiem, nie pamiętam. Oprócz warszawiaków którzy stwierdzili, że ich takie drobnostki jak wysadzanie mostów nie interesuje, wszyscy mieszkańcy znaleźli się w schronach przygotowanych z piwnic na taką "okazję".

Pierwszy znalazł się w piwnicy kolega Wiktora ten, który nie zdążył do Słomnik.

Pamiętam jak gwałtownie w huku otworzyły się okna a z jednego, gdzieś u sąsiadów poleciała szyba.

Tato przyjechał z Bochni a właściwie przyszedł piechotą od Płaszowa, bo pociągi przez most już nie puszczali. Opowiadał, że most kolejowy na Wiśle przeszedł ostatni, po nim Niemcy już nikogo nie puścili. Most był zaminowany i tylko widocznie czekali na rozkaz wysadzenia go.

Nie na dużo pomogło Niemcom wysadzenie wszystkich trzech mostów w Krakowie na Wiśle. Wisła była tak skuta lodem, że artyleria sowiecka swobodnie przez nią przejeżdżała.

Jesteśmy w piwnicznym schronie już parę godzin. Po kilku większych wybuchach - cisza. Chwilami z daleka odgłosy jakby artylerii. Pojedyncze strzały gdzieś blisko i znów cisza. Co się dzieje w mieście nikt nie wie. Czekamy co będzie dalej.!

Nikt nie wie jaka sytuacja na froncie. Co nas w Krakowie czeka. Z nami w piwnicy siedzą między innymi i nasi sąsiedzi mieszkający na tym samym piętrze co my, vis à vis nas - państwo Rychlikowie z córką może dwunastoletnią i trochę starszym synem. (oboje państwo Rychlikowie studiowali na Uniwersytecie Jagiellońskim farmację i ukończyli studia jeszcze przed wojną, a pan Rychlik był do wojny na tej uczelni pracownikiem naukowym.) Mama moja ceni sobie znajomość zwłaszcza z panią Rychlikową, która uważa za mądrą i życzliwą osobę. Ceni sobie jej mądre rady.

Czas się dłuży. Starsi rozmawiają a my siedzimy po kątach i nudzimy się.

Nikt nie zauważył kiedy młody Rychlik wybył ze schronu. Gdy po chwili wrócił - spokojnie bez emocji powiada - "przed domem parę minut temu rozmawiałem z rosyjskim żołnierzem". Co ?? Czy to możliwe ? Nie uwierzyliśmy ! A to jednak była prawda. Żołnierze wojsk radzieckich szli od północy. od strony cmentarza ulicą Rakowicką.!

Wracamy do swoich mieszkań. Wieczorem siedzimy po ciemku. Nie ma prądu.!

Rano następnego dnia okazuje się, że piekarnie nieczynne. chleba więc nie będzie. Trudno, najważniejsze, że podobno Niemców w Krakowie już nie ma. Może jednak walk w Krakowie nie będzie ? - Tyle już ofiar, tyle nieszczęścia ! Na ulicy Rakowickiej koło kościoła podobno leżał jakiś zabity cywil.

Prądu dalej nie ma. Wieczorem zapalamy karbidówkę.* Pali się słabym płomieniem a paląc się wydziela nieprzyjemny zapach.

Następnego dnia w południe odważyłam się iść do "Oleńki". Kazała mi jednak wracać do domu. Marazie nie ma dla mnie żadnych poleceń. W mieście - jak twierdzi - niebezpiecznie, trzeba parę dni poczekać.

* Karbid zwykły - węgiel wapnia (CaC_2) - poddany działaniu wody rozkłada się i wydziela acetylen - gaz palny.

Piekarnie dalej nieczynne ale my mamy chleb! A to zasługa naszej Hanki.

Ktoś z sąsiadów zauważył, że mieszkańcy sąsiednich kamienic noszą różne paczki żywnościowe. Namówił Hankę i poszli we dwoje zobaczyć co też ludzie noszą i skąd.

Okazało się, że okoliczna ludność "zaopatrywała się" w żywnościowe produkty z pobliskich, ponemieckich magazynów wojskowych. Przyniosła więc i Hanka parę paczek chleba (po kilkanaście kromek w każdej paczce). Był ciemny, prawie czarny ale o wiele lepszy od "kartkowca". Oprócz chleba przyniosła jeszcze parę konserw.

Nasza Hanka zawsze była zaradna i odważna ale gdy mama dowiedziała się, że dochodzi w tych magazynach prawie do bójek między ludźmi nie pozwoliła jej tam więcej iść.

Tato jest z nami. Pociągi do Bochni ruszą lada dzień. Tymczasem tato załatwia swoje sprawy w Krakowie. Usłyszałam przypadkiem jak wieczorem mówił do mamy. - " Nie wierzę w porozumienie z nimi. Nie wierzę w ich dobrą wolę !

Po wyjeździe taty - pamiętam dobrze poważną rozmowę naszej mamy z nami. Przede wszystkim zapamiętałam dobrze jej radę a raczej polecenie - " Pamiętajcie gdyby was ktoś pytał kim był ojciec przed wojną - to był tylko urzędnikiem samorządowym i pamiętajcie nie państwowym tylko samorządowym ! A obecnie jest pracownikiem spółdzielni "Społem".

Po panią Hannę naszą podopieczną z Warszawy choć "papiery" miała z Pruszkowa, przyszedł jej dobry znajomy. Starszy pan, aktor. (o ile dobrze pamiętam z przedwojennej Warszawy. Znałam go już wcześniej, bo czasem panią Hannę u nas odwiedzał.) Podziękowali mi serdecznie za opiekę. Nie byłam wtedy w domu. Już po naszej przeprowadzce na ulicę Koniuszki przyszli do nas jeszcze raz we dwoje z serdecznym podziękowaniem. Wtedy dostałam od pani Hanny książkę Iwaszkiewicza

Po trzech dniach od wkroczenia Armii Czerwonej do Krakowa, wyruszam " w miasto".

Idę na ulicę Św. Jana zobaczyć co zostało po Foto-copi. Pracownia i cały lokal otwarty. Wszystko w nich porozrzucane , aparatów nie ma. Wychodząc z tego bałaganu spotykam naszą Poznaniankę. Opowiadała mi, że to Walter zdażył jeszcze tego dnia gdy

Rosjanie wkroczyli do Krakowa, wymontować i zabrać wszystkie aparaty fotograficzne z pracowni. Udając Francuza (miał podobno jakieś na to dokumenty), po paru dniach opuścił Kraków.

W Krakowie spokój więc wstąpiłam jeszcze na Strzelecką do "Oleńki". Od jutra normalna "akowska" praca, choć nikt nie wie co nam jutro może przynieść. Właściwie jaka jest nasza sytuacja teraz po wkroczeniu Rosjan? Raczej niewiadoma !

Wracam do domu. Była u nas Lidka ale już poszła. Chciała ze mną porozmawiać. Przyjdzie jutro.

Opowiedziała mi mama jakie nieszczęście spotkało Lidkę. Tuż przed lub w czasie wyzwolenia Krakowa jej dobry kolega, jedyny z czasów przedwojennych został zastrzelony przy jakimś moście czy wiadukcie. Szukała go Lidka przez trzy dni i znalazła - w miejskiej kostnicy ! Właśnie dziś go pochowała na cmentarzu Rakowickim. Biedna Lidka ! Gdy następnego dnia przyszła, poszliśmy razem na cmentarz.

Nie pytałam Lidki o nic. Sama mi krótko opowiedziała. Teraz ma okazję wyjazdu za granicę - jak mówiła - i tą pociechę, że tam na nią czekają. Tutaj już nie ma nikogo.

Doszliśmy do cmentarza. Przeszliśmy główną alejką koło kościółka i u końca cmentarza gdzie były świeże mogiły pokazała mi miejsce gdzie pochowany jest jej kolega. - "Mnie tu nie będzie ale proszę cię bardzo przyjdź tu czasem" - . Była spokojna, opanowana. Gdy napomknęłam coś o jej wyjeździe - powiedziała - "to już postanowione" !

Miałam taką nieokreśloną pewność, może przeczucie, że już nigdy Lidki nie zobaczę !

Nie raz i nie dwa byłam na tym miejscu gdzie ostatni raz widziałam się z Lidką. Niestety gdzie leży jej kolega nie mogłam już rozpoznać. Tyle nowych mogił w ostatnich dniach a i nie znałam nazwiska kolegi Lidki. Tragiczne losy mojego pokolenia !

O Jurku i Kubie braciach Rutkowskich nic nie wiadomo. Jurek w obozie w głębi Niemiec a Kuba w Oświęcimiu, teraz tam front. Niestety Mietek jednak prawdopodobnie rozstrzelany na ulicy Botanicznej. Jedynie Tadek wrócił z lasu i odwiedził nas.

W naszej kamienicy u niektórych lokatorów zakwaterowano na parę dni rosyjskich oficerów. U nas ulokowano dwóch. Nocują w pokoiku za kuchnią. Całymi dniami ich nie ma. Chodzą do koszar które zajmują po Niemcach.

Mama i pani Maria rozumieją po rosyjsku. Pytały się więc tych u nas zakwaterowanych ile też mają lat bo tacy młodzi a już oficerowie i to podobno odznaczeni. To za Stalingrad["] chwalili się obaj. Byliśmy zszokowani gdy jeden z nich będąc sam opowiedział naszej mamie a mama nam, jak naprawdę było pod Stalingradem !

- Dopiero co powołani do wojska pod Stalingradem była to ich pierwsza bitwa (jak się u nas mówi - przechodzili chrzest bojowy) Byli w pierwszych liniach okopów. Gdy szły ataki niemieckie nie wolno im było się cofać, Na drugiej linii za nimi stały oddziały NKWD i oni strzelali do swoich żołnierzy, którzy nie wytrzymując naporu niemieckich ataków cofali się ! Siedzieli więc w tych okopach i bronili się jak straceńcy do ostatka. Tylko nielicznym z nich udało się przetrwać i przeżyć. !

W ostatnich dniach stycznia nasi bohaterowie spod Stalingradu, ze swoimi oddziałami ruszyli dalej - "na zapad, na Germańca" - jak mówili. A ten, który opowiadał mamie o bitwie pod Stalingradem, dał nam taką radę na pożegnanie - "Nie otwierajcie drzwi nikomu, jeżeli będą w mundurach żołnierzy radzieckich, bo Niemcy przebierają się w nasze mundury i rabują". Ha - rada dobra ! Tylko z tym przebieraniem ? No trudno, nie mógł widać przy koleździe inaczej.

→ verte!/1.

Parę dni później wielka u nas zmiana. Przeprowadzamy się z mieszkania przy ulicy Lubomirskich 27 na ulicę Moniuszki.

Właściciel mieszkania z którego się wyprowadzamy, przez cały czas okupacji z całą rodziną przebywał poza Krakowem, teraz wraca do Krakowa i naturalnie do swego mieszkania.

Nowe mieszkanie dla nas znalazła Hanka. Znow ratuje sytuację. Trzy pokoje z kuchnią na pierwszym piętrze.

Mama zadowolona z nowego mieszkania ale przeprowadzka, choć tylko na parę ulic dalej, nie na babskie siły.

Szczęściem zjawił się znow pan Bogdan, który po Powstaniu Warszawskim u nas przez ponad miesiąc z tygodniową przerwą przebywał. - " Raz ja mogę się wam na coś przydać"- Powiedział wesoło !.

Verte/2 →

5/44

11.

→ Był koniec stycznia, lub pierwsze dni lutego, gdy wracając z lasu odwiedził nas nasz Maniek ! Ani mnie, ani siostry w domu nie było. Podziękował mamie za opiekę i kazał nas pozdrowić. Zdeżył jeszcze przed wyjazdem z Krakowa dla każdej z nas w Sukiennicach kupić bambosze - ciepłe domowe pantofle z pomponem. Na mamy protesty, że tyle pieniędzy wydał, a jest w podróży, oświadczył: - Chciałem przecież jakoś wyrazić swą wdzięczność za wszystko, a na drogę mi starczy. Każdy z nas dostał pewną sumę, gdy rozwiązywali nasz oddział - dodał.

Nigdy go już więcej nie widziałam. Prawdopodobnie wyjechał za granicę. Czy pochodził z łódzkiego getta likwidowanego w sierpniu 1944 roku przez hitlerowców ?

→ /2 Podczas ostatniego u nas pobytu pan Bogdan Kamiński opowiadał nam, że Marszałek Śmigły Rydz zmarł w Warszawie, do której powrócił z myślą o pracy konspiracyjnej. Wie też dokładnie gdzie został pochowany, o ile dobrze pamiętam, pod nazwiskiem Zawisza.

Przeprowadziliśmy się w ciągu jednego dnia. Nasi dotychczasowi współlokatorzy - pani Maria z siostrą i państwo Domańscy wyprowadzili się parę dni po nas.

Początek lutego. Jadzia z Wiktorem i małą Elżbietką wrócili do Krakowa.

Opowiadała nam Jadzia jak przeżyli dni walk frontowych. Otóż na jakiś czas przed ofensywą radziecką firma w której pracował Wiktor, rozpoczęła naprawę dróg w okolicy Nowego Brzeska koło Wisły. Do Nowego Brzeska więc przeniesiono Wiktora z rodziną ze Słomnik, gdzie prowadzono podobne roboty.

Jak ruszyła ofensywa radziecka już w parę dni byli w samym środku walk frontowych. Siedzieli przez cały czas walk w piwnicy. Gdy ostrzał ustawał, na prędcie w kuchni przygotowywali coś do jedzenia dla siebie a przede wszystkim dla ośmiomiesięcznej Elżbietki. W takich chwilach "spokoju" często przychodzili do kuchni żołnierze rosyjscy. Widać dom w którym mieszkali był bliżej pozycji wojsk radzieckich. Najczęściej prosili lub sami sobie gotowali "kipiatok" - wrzątek - gorącą przegotowaną wodę. A cukier i herbatę mieli w kieszeniach swych szyneli, tak zupełnie luzem. Spali gdzie popadło. Czasem nawet na polach pod płachetkami przysypani śniegiem! Raz Jadzia z Wiktorem nie zdążyli z kuchni zejść do piwnicy gdy zaczął się ponownie ostrzał i przez okno wpadł jeden z pierwszych pocisków. Szczęściem żaden z odłamków w nich nie trafił. Zbierali je później po całej kuchni. Nawet w Elżbietki wózekczku w którym siedziała znaleźli jeden! Po paru dniach i nocach siedzenia w zimnej piwnicy pochorowała się Elżbietka. Zawezwany lekarz stwierdził zaziębienie i zapisał lekarstwo. Dobrze, że choć front przesunął się dalej na zachód i można wyjść z piwnicy. W aptece jednak trudności, bo nie chcą już przyjmować starych niemieckich pieniędzy, nowych nie mają a lek trzeba dać dziecku jeszcze dziś. Nowe pieniądze na lekarstwo dał jeden z oficerów rosyjskich, który był przypadkiem w kuchni gdy Wiktor wrócił z niczym z apteki.

Połowa lutego. Mam teraz więcej wolnego czasu. Nie chodzę już do pracy w Foto-copi.

"Oleńka"u której melduję się jednak jak dawniej prawie godzinie zapowiedziała, że w najbliższym czasie będziemy musiały zorganizować spotkanie ze wszystkimi "peżetkami" bo ma nam przekazać coś bardzo dla nas ważnego od dowództwa naszego Armii Krajowej w Londynie.

Dla naszej grupy spotkanie to odbyło się w prywatnym mieszkaniu przy ulicy Kazimierza Wielkiego. Z naszych krakowskich władz Armii Krajowej oprócz "Oleńki" był delegat z BIP-owskiego Okręgu Krakowskiego. W obecności tegoż delegata "Oleńka" podziękowała nam za współpracę za trud i ofiarność w służbie dla naszej Polski Następnie odczytała ostatni rozkaz - decyzję naszego Rządu w Londynie - o zwolnieniu nas ze złożonej przysięgi.

Miałam mieszane uczucia. Cieszyłam się wprawdzie, że będę mogła uczyć się dalej i normalnie żyć. Równocześnie wielki niepokój, że to co przyszło ze wschodu nie jest tym, na co przez te pięć lat tragicznej wojny czekaliśmy, o co walczyliśmy, za co ginęli nasi, o co powstała i walczyła Warszawa !

Wiedzieliśmy już, że na naszych wschodnich terenach NKWD aresztuje akowców. Czy to są może pojedyncze przypadki?? Raczej nie!

Na koniec ostatniego naszego akowskiego spotkania "Oleńka" powiedziała - coś w tym sensie - Pomimo, że jesteśmy zwolnieni z przysięgi sądzę, że dalsze wasze a raczej nasze postępowanie będzie zawsze godne i słuszne. Oświadczyła jeszcze, że krakowski PŻ /Pomoc Żołnierzowi/ Armii Krajowej nie ujawnia się.

Jak wykazała najbliższa przyszłość "Oleńka" miała zupełną rację. Dzięki niej żadna z pezetek nie została aresztowana. Sowieckie NKWD nie miało widać na nas żadnego "namiaru" ! Przekonałam się o tym sama wkrótce !

Sekretariat Uniwersytetu Jagiellońskiego zaczął pracę. Obiecują, że w niedługim czasie zaczną się wpisy na wszystkich Wydziałach Jagiellonki.

Początek marca. Słoneczko, parę dni cieplejszych. Zabrałam się do mycia okien. Uporałam się z jednym, zaczynam drugie gdy zjawia się u nas - nie do wiary - pan w średnim wieku z ulicy Dietla. Ten do którego wysłała mnie kiedyś "Oleńka". Któremu wtedy na jego prośbę przyniosłam z magazynu "Społem" przechowywany tam jego rewolwer i za to dostałam reprimendę od "Oleńki". Moje zdziwienie było jeszcze większe gdy zaproponował mi - dalszą pracę konspiracyjną ! Ten, o którym "Oleńka", powiedzmy oględnie, nie miała zbyt pochlebnej opinii. Podziękowałam za zaufanie ale odpowiedziałam stanowczo nie!! Stał milcząc przez dłuższą chwilę. Widać nie spodziewał się takiej odmowy. Z zawiedzioną miną poszedł. Kto mu dał mój adres?

Napewno nie "Oleńka"! "Inka" nie znała naszego adresu. "Agata", która miała wprawdzie "namiar" na nas, bo przysyłała nam do końca "podopiecznych", ale bez pozwolenia "Oleńki", napewno też nie! "Lidka" już się z nami pożegnała i wyjechała.

Nigdy nie dowiedziałam się kim był ten, który mi w marcu 45-go roku proponował dalszą pracę w konspiracji.

W Krakowie od początku marca częste aresztowania, zatrzymania "kotły". Nagonka na "akowców"! NKWD pokazuje nam co potrafi i co może.

Dzień marcowy, pochmurny bez słońca. Resztki śniegu zwilgotniały i straciły swą biel. Ulice stały się szare. Szaro-bure było niebo nad szarymi kamienicami.

W taki dzień, koło południa wracałam z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Sprawdzałam, czy jest zawiadomienie o rozpoczęciu wpisów na pierwszy rok studiów. Wstąpiłam jeszcze do siostry mojej, Hanki do biura gdzie pracowała. Odebrałam od niej chleb i mleko, które kupiła rano idąc do pracy. Wracałam już do domu. W ostatniej chwili zdecydowałam się wstąpić do Zosi Kobyleckiej. Mieszkała przy ulicy Warszawskiej 1, tuż obok kościoła św. Floriana.

Z Zosią podczas wojny razem zdawałam maturę. Świadectwa powinnyśmy teraz dostać. Chciałam się Zosi zapytać, czy coś wie na ten temat. Zosia bowiem miała kontakt z nauczycielami którzy przygotowywali nas na tajnych kompletach do matury.

Miałam już 22 lata i najwyższy czas do rozpoczęcia studiów i normalnego wreszcie życia, po ponad pięcioletnich okropnościach wojny!

Rozczarowanie i niewypowiedziana gorzkość z tak zwanego "wyzwolenia" były jednak już o parę kroków. Przeszłam koło kościołka i doszłam do pierwszej kamienicy za nim. Na parterze mieszkała w niej Zosia Kobylecka z rodziną. Zadzwoiłam. Otworzył mi żołdat radziecki a drugi stał za nim. Zdziwiona weszłam do mrocznego przedpokoju. Prawie jednocześnie otworzyły się drzwi do pokoju i wyszedł z niego NKWD-ysta. Zapytał mnie po polsku (poprawną polszczyznę) do kogo przyszłam i w jakiej sprawie. Odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Zaprowadził mnie do kuchni i kazał czekać, zabraniając z kimkolwiek rozmawiać. A więc "kocioł" pomyślałam!

Zofia z Puzynów 10 Myczkowska, 2 Morawska
/ur. 25 II 1895. zmarła 7 II 1980 r./

W Krakowie już się głośno mówiło, że są aresztowania wśród akowców. Nie chciałam wierzyć !

W kuchni całe towarzystwo. Na krześle tuż przy drzwiach siedziała mleczarka, przy niej stały dwie banki mleka. Jakaś pani i pan już starsi siedzieli obok, za nimi w kącie stał nieznany mi chłopak, a przy kuchni babcia Zosi coś gotowała lub może udawała, że gotuje.

Po pewnym czasie przyszedł inny oficer NKWD i od początku mnie pyta, ale już "łamaną" polszczyzną, po co przyszedłam i gdzie jest teraz Zosia ? Nie wiem - myślałam, że jest w domu. W tym momencie od strony kuchni słyszę głos babci Zosi - "Skąd może wiedzieć, kiedy i my nie wiemy" ! "Milczy starucha" - groźnie karci politruk babcię Zosi. A do mnie - "Nie skążosz gdzie Zosia, no pójdziasz na Montelupich" !! Nie wiem ! - odpowiadam stanowczo. Wyszedł z kuchni.

Chodzi więc o Zosię. Nic się nie zmieniło - pomyślałam z goryczą. Na Montelupich ci sami przymusowi lokatorzy - więźniowie - to znaczy my !, tylko oprawcy się zmienili z hitlerowców na bolszewików. Mój Boże! Jakie poczucie krzywdy! Jaka gorycz! Zwycięstwo zmieniło się w klęskę dla tych co walczyli o Nią i za Nią ginęli - wysnioną, wymarzoną Polskę, przez całe pięć lat. My młodzi nie dawaliśmy wiary starszym, gdy nas ostrzegali przed bolszewikami. Naiwnie myśleliśmy, że to słowianie i nie będą tak okrutni jak hitlerowcy. Zawód był bolesny, nie do zapomnienia !

Siedzę dalej w kuchni. Czas się dłuży. Może po godzinie wołają mnie do przedpokoju. Z pokoju wychodzi enkawudysta za nim Ola, koleżanka moja i Zosi z kompletów maturalnych, najlepsza polonistka w naszej grupie. Za nią jeszcze jeden politruk. Pytają mnie czy ją znam ? Ola z wypiekami na twarzy, ale spokojna, oczami tylko porusza raz w jedną raz w drugą stronę. Rozumiem - to znaczy - nie przyznawaj się do mnie ! Odpowiadam spokojnie, jakby po namyśle - "Tak z widzenia ją znam, ale nie wiem jak się nazywa ! Widzę zadowolenie na twarzy Oli.

Po tej konfrontacji każą mi wracać do kuchni. Siedzę więc w niej dalej, ale zatrzymanych, z kuchni po trochu ubywa.

Zaczyna zmierzchać. Kończy się krótki marcowy dzień. Gdy się zupełnie zciemniło przychodzą po mnie i każą się ubierać. Wkładam płaszcz, biorę swą torbę i idę. W przedpokoju dołącza Ola.

Wychodzimy w towarzystwie niskiego szczupłego NKWD-ysty. Idziemy ulicą Warszawską w stronę Montelupich. Nasz "cpiekun", nie brunet, ale raczej rudawy, zaczyna z nami rozmowę - zupełnie czystą polszczyznę ! Pyta nas o imiona. Odpowiadam niechętnie. Przyglądam się z boku enkawudyście, mam przecież oko rysownika. Słyszę jak Ola z nim rozmawia i po chwili pyta naszego "opiekuna" - "a wy skąd jesteście, tak dobrze mówicie po polsku ? - Jestem ze Stanisławowa - pada odpowiedź. A więc nie pomyliłam się ! Nasz "opiekun" jest polskim Żydem ze Stanisławowa.

Ola zostaje odstawiona na bramie więzienia przy Montelupich a ja przez polskiego obywatela ze Stanisławowa zostaję doprowadzona do jakiegoś biura NKWD, mieszczącego się w Kamienicy na piętrze przy tak zwanym Nowym Kleparzu.

W pokoju do którego mnie doprowadzono zastaję "towarzystwo" z "kotła" na Warszawskiej ulicy. Nie przypominam sobie tylko młeczarki z bańkami mleka. Przy stole na krzesłach siedzieli starsza pani i pan, którzy byli ze mną w kuchni na Warszawskiej, później okazało się, że to małżeństwo pochodzi ze Lwowa, chłopak też znany mi z kuchni oraz dziewczyna i dwie jeszcze osoby których przedtem nie widziałam.

Pomieszczenie typowo biurowe, prawdopodobnie ponemieckie. Pełno pozsuwanych stołów, biurek, krzeseł. Siadam na jednym wolnym przy stole.

Nie wolno nam ze sobą rozmawiać ! Pilnuje nas dwóch, najwyżej siedemnastoletnich rekrutów radzieckich z ogolonymi do skóry głowami. Siedzą w kącie na stercie krzeseł, półgłosem rozmawiają i co chwila słysząc ich cichy śmiech. My siedzimy milcząco.

Wołają nas pojedynczo na przesłuchania. Mam świadomość, że od przebiegu tego przesłuchania zależy wszystko, po prostu, czy wrócę do domu. Koncentruję się i przypominam wszystkie rady i zalecenia dawane mi w razie takiej właśnie sytuacji. Przede wszystkim rady mamy, która mówiła - w razie czego - pamiętaj ojciec był tylko samorządowym urzędnikiem ! Z konspiracyjnych rad -

odpowiadaj tylko na pytania, nie mów za dużo. Mów logicznie, tym bardziej, gdy nie możesz powiedzieć prawdy.

Rekruci w kacie zaczynają się nudzić. Bawią się bagnetem, prawdopodobnie niemieckim. Po chwili jeden z nich zwraca się do mnie i proponuje mi w prezencie tenże bagnet. Tyle zrozumiałam ale sądziłam, że to głupie żarty tych wyrostków więc tylko machnęłam ręką. Nie w głowie mi były żarty.

Po przesłuchaniach nikogo nie puszczają więc siedzimy dalej razem.

Idę na przesłuchanie ostatnia. W pokoju biurko za nim oficer NKWD, po lewej od biurka jedno krzesło. Gestem enkawudysta na nie wskazuje. Siadam.

Po chwili padają pytania: Imię, nazwisko, gdzie mieszkam, kim ojciec, gdzie pracował, a raczej co robił przed wojną, gdzie teraz pracuje, matka - co robi, rodzeństwo, czy ktoś z rodziny jest za granicą itd. Na koniec jakby od niechcienia, - czy należałam do - i tu powiedział dość cicho - AK. Może mi się wydawało, że powiedział AK. Moje prawe ucho od czasu frontu kutnowskiego z roku 39-go, było mało sprawne. Byłam jednak przekonana, że powiedział AK, i że to było koronne pytanie. Chwila mojego zastanowienia spowodowała, że enkawudysta powtórzył pytanie, ale już nie skróttem literowym a wyraźnie i poprawnie po polsku - do Armii Krajowej? - Odpowiedź moja była szybka, pewna i wyraźna! " U nas kobiet do wojska nie brali! " Chwila milczenia i słyszę - "O ja znaju szto i to kobiety należały." Nic nie odpowiedziałam. Wydawało mi się, że lekko wzruszyłam ramionami. Było to ostatnie pytanie. Przesłuchanie skończone!

Wracam do reszty zatrzymanych. W kacie gdzie siedza pilnujący nas rekruci już nie ciche prześmiewki, ale wyraźne rechotanie. Co im tak wesoło? Myślę zdziwiona.

Siedzimy dalej wszyscy razem, ale możemy już rozmawiać. Jest po północy. Starsza pani i pan, okazują się małżeństwem ze Lwowa, twierdzą że możemy tak posiedzieć i dwa tygodnie! Jednak nie, gdzieś po godzinie zawiadamiają nas, że jesteśmy wolni! Rekruci znikają. Nikt jednak nie ma odwagi iść w nocy przez puste miasto. Jest około drugiej w nocy a na ulicach niebezpiecznie.

Postanawiamy czekać do rana. Prosimy tylko o otworzenie sąsiedniego pokoju, gdzie ktoś przez dziurkę od klucza wypatrzył stoły i krzesła, byśmy choć przy stołach mogli się trochę przespać. Zgadza się, ale klucz od tego pokoju gdzieś się im zapodział. Idą poszukać. Tymczasem jeden z nas, nieznany mi młody człowiek, otwiera drzwi wytrychem ! Starszy pan ze Lwowa protestuje, mogą być kłopoty. Na powtórne zamknięcie drzwi nie ma już czasu, bo właśnie wracają dwaj enkawudyści i to z kluczem. Kto otworzył drzwi ? - pytają. Milczenie. Ktoś mówi - pewno były otwarte, tylko źle sprawdzaliśmy. Nie sądzę, że uwierzyli. Nie robili jednak kwestii z tego powodu i poszli.

O drzemce przy stole nie ma mowy. Myśle o Oli. Po zdaniu matury nie widywałam się. W pracy konspiracyjnej nie miałyśmy ze sobą żadnego kontaktu, nawet nie wiem, jaki miała pseudonim. Ktoś musiał wypnać ich grupę. Nasza komendantka "Oleńka", podczas zwalniania nas z przysięgi, powiedziała stanowczo - nie dekonspirujemy się, tak będzie najlepiej, ja ich dobrze znam! Miała rację.

Już dniało, gdy rozchodziliśmy się do domów. Szliśmy we troje. Młoda dziewczyna, ten chłopak od wytrychu i ja.

Tramwaje zaczynały jeździć. Doszliśmy razem do dworca. Tu się pożegnaliśmy, oni poszli w swoją stronę a ja dalej ulicą Lubicz.

Szłam piechotą aż na Osiedle oficerskie, na ulicę Moniuszki, na którą parę tygodni temu przeprowadziliśmy się z ulicy Lubomirskich. Torba, którą miałam ze sobą wydawała mi się bardzo ciężka. Byłam tak zmęczona gdy dotarłam do domu, że tylko w paru zdaniach opowiedziałam mamie i siostrze co się stało i poszłam spać.

Spałam cały dzień do wieczora. Tymczasem przyszedł ojciec Zosi, pan Kobylecki zawiadomić moją mamę, że u nich był "kocioł" z którego wzięli mnie do więzienia na Montelupich.

Pan Kobylecki ucieszył się bardzo, gdy dowiedział się, że jestem już w domu.

Zosi Kobyleckiej NKWD nie dostało! Ostrzeżona przez sąsiadów nie wróciła do domu.

Na drugi dzień mama pyta mnie - Zosiu skąd ty wzięłaś - bój się Boga, ten bagniet !? O czym ty mówisz mamó - jaki bagniet ?

Ten, który przyniosłaś w torbie razem z chlebem i mlekiem. - Co ? Jak ? I zrozumiałam wtedy te wesołe rechoty rekrutów, gdy wróciłam z przesłuchania i to, że przez nich ledwo dodźwigałam tę ciężką torbę z bagnetem do domu. Jak oni sprytnie wsadzili go do mojej torby, że nikt tego nie widział. - Pokaż mi mamó ten bagnet - poprosiłam. - Nie ma go już, wyrzuciłam na śmietnik jak spałaś - oświadczyła. Szkoda - pomyślałam.

Mineły dni, miesiące, lata od tych wydarzeń a ja pamiętam i te niebieskie w ciemnej oprawie oczy Oli dające mi znak - nie przyznawaj się do mnie !

Ola z Czerwonego Prądnika - tak ją nazywałam - najlepsza polonistka z naszej maturalnej grupy, zdolna, przystojna szatynka z niebieskimi oczami, zawsze wesoła, pełna życia, obdarzona pięknym głosem, została wywieziona z więzienia na Montelupich 23 marca 45-go roku, wraz z innymi aresztowanymi akowcami w głąb Związku Radzieckiego. X/Transport ten wyjechał z Krakowa następnego dopiero dnia . Ola do Polski już nie wróciła. Zmarła w obozie daleko od Ojczyzny ! Miała wtedy 22 lata./

X Dalsze losy Oli Rajcówny ps. "Kozaczek" po wywiezieniu jej w głąb Związku Radzieckiego znamy z wydanych w 1991 roku, wspomnień Alojzy Gryglowskiej ps. "Limba" pt.- "Przetrwać to ufać" - Wspomnienie z "niehumanitarnej ziemi".

Autorka serdecznie i bardzo ciepło wspomina Ole Rajcówną jedną z dziesięciu młodych dziewcząt, bezprawnie aresztowanych za przynależność do Armii Krajowej, uznawanej przez sojuszników, naszej organizacji wojskowej.

Ola zmarła 5 sierpnia 1945 roku a więc w niecałe pięć miesięcy od jej wywiezienia, w obozie - łagrze, niedaleko Krasnowodzka, położonego w Azji nad Morzem Kaspijskim w pobliżu pustyni Kara - Kum.

Wiele wspomnień Polaków zesłanych do Krasnowodzka zawiera opis pogrzebu Oli - pięknej łączniczki AK, "Kozaczka", w czasie huraganowej burzy piaskowej.

Przez następne parę dni nigdzie nie wychodzę, siedzę w domu. W tym czasie z naszego PŻ-tu przysyłają do nas na przenocowanie, wracających z niemieckiego oflagu i będących przejazdem, dwóch naszych oficerów. Są z Wileńszczyzny. Nasza akowska Pomoc Żołnierzo-
wi działa dalej.

Wieczorami i w nocy na ulicach niebezpiecznie. Maruderzy a może nie tylko, wojsk radzieckich napadają na przechodniów, rabują. Były niestety i wypadki śmiertelne.

Parę ulic od nas na osiedlu oficerskim, dwaj pijani żołnierze sowieccy zasztyletowali harcerza, który stanął w obronie jakiejś dziewczyny. Nikt z nas nie wychodzi na ulicę o zmierzchu. Dobrze, że choć dni są coraz dłuższe. Ale incydenty zdarzają się i w dzień.

Nasz tato wracał raz po niedzieli do pracy w Bochni. Mama dała mu do walizki bieliznę na zmianę, parę chusteczek i skarpetki. Na dworcu przy okienku do kasy, kupując bilet postawił walizkę obok siebie. Gdy bilet kupił - chce brać walizkę a walizki nie ma! Rozgląda się wkoło i pyta. Myślał, że ktoś przez pomyłkę ją zabrał. Podchodzi starszy pan i pyta co szuka. Okazało się, że przed chwila widział idącego do drzwi wyjściowych żołnierza sowieckiego właśnie z taką walizką! Mama przyjęła tę wiadomość na wesoło. - O wasz tato potrafi gubić różne swoje rzeczy albo je zamieniać z reguły na gorsze. Przed wojną jeździł często do Warszawy do ministerstwa, wracał często w nie swoim kapeluszu lub w nie swoich kaloszach.

Znajomy naszej Hani opowiadał nam jak przed paroma dniami był świadkiem zdarzenia, które nas wszystkich bardzo poruszyło!

- W jednej krakowskiej kawiarni przy stoliku w towarzystwie siedział polski oficer, który wrócił z niemieckiego oflagu. Był w oficerskim mundurze wojska polskiego. Obok przy drugim stoliku siedziało dwóch może trzech żołnierzy radzieckich. Popijali jakiś trunek. W pewnym momencie jeden z nich złapał pustą już butelkę ze swego stolika i rzucił ją na stół przed polskim oficerem. Ten wstał od stolika i spokojnie ale stanowczo zapytał żołnierza, który rzucił butelkę co to ma znaczyć? O co mu chodzi? Nie podobała się widać spokojna reakcja Polaka żołdatowi bo zaczął krzyczeć na niego głośno, na całą kawiarnię.

- Ja nie takich strilał w Katyniu kak ty !, nu zważaj ! -
Pracownicy kawiarni nie czekali na dalszy rozwój wypadków tylko natychmiast zawezwali żandarmerie sowiecką. Widać nie raz już mieli podobne kłopoty. Żandarmeria przyjechała. przesłuchiwała świadków, spisała protokół, a dowodzący oddziałem żandarmerii miał powiedzieć do kogoś - nu gorąco mu budiet. -/chodziło o tego pijanego żołdata/

Rosjanie pilnie strzegli tajemnicy Katynia. Oficjalnie twierdzili, że to Niemcy wymordowali w Katyniu polskich oficerów ! Kto twierdził inaczej był w niebezpieczeństwie.

Nasza komendantka "Oleńka" wraz z całą rodziną przeprowadza się z ulicy Strzeleckiej na plac Biskupi do kamienicy obok klasztoru Wizytek.

Koniec marca. W głąb Rosji wywieziono kilka wagonów akowskie; młodzieży z Krakowa. Represje na akowcach nie ustają tylko są przeprowadzane bardziej dyskretnie, "po cichu". Aresztują lub nawet likwidują osoby z akowskiego dowództwa. Podstępnie, bezprawnie - likwiduje się całą naszą Armię Krajową ! Fałszywe, kłamliwe i absurdalne zarzuty padają pod jej adresem!

Może był już kwiecień a może koniec kwietnia jak "Oleńka" czyli Irena Augustyniakowa wraca z mężem Janem Augustyniakiem i dwoma córkami, Danusią i Zosią oraz z siostrą i dwoma siostrzeńcami. do Łodzi, do swego rodzinnego miasta !

My niestety zostajemy w Krakowie nie ma nadziei na powrót do naszego rodzinnego miasta, do Zgierza.

Kontakt z koleżankami z konspiracji urwał się. Niektóre wróciły już do swych przedwojennych domów. Wyjeżdżają z Krakowa wszyscy, którzy zostali tu deportowani przez okupanta niemieckiego z zachodnich naszych ziem.

W dniu 17 kwietnia 1945 roku wpisuję się na Uniwersytet Jagielloński. Świadectwa maturalne z tajnych kompletów dostaniemy w maju do tego czasu wpis jest warunkowy ale dostałam już indeks i chodzę pilnie na wykłady i ćwiczenia.

Jestem na pierwszym roku, studiując na ówczesnym Wydziale Filozoficznym - Przyrodę. /Dopiero od następnego roku utworzono osobny Wydział Matematyczno-Przyrodniczy./

Ostatnie dni kwietnia. Wojna wróciła skąd wyszła ponad pięć lat temu, do Berlina !! Tak się kończyło marzenie Niemców - o tysiącletniej Rzeszy Narodu Niemieckiego, panującej nad całym, w ich marzeniach, światem. Zawierzyli choremu psychicznie maniakowi.

Pytania o najbliższych, krewnych, znajomych padają teraz w każdej niemal naszej rozmowie. Szukamy się nawzajem!

Tato przez Czerwony Krzyż poszukuje swego najmłodszego brata Antosia, aresztowanego po wkroczeniu Sowietów i jego najbliższych - żony i sześciorga dzieci wywiezionych w kwietniu 40-go roku w głąb Związku Radzieckiego. Zaginął również wujek Eugeniusz więc i jego szukamy. Z Warszawy od cioci Feli przyszła wiadomość o tragicznej śmierci podczas powstania cioci Juli, która będąc w tym czasie w jednym z warszawskich szpitali zginęła wraz ze wszystkimi pacjentami i lekarzami tegoż szpitala.

A nasi koledzy, nasi rówieśnicy - młodzież. Co z nimi? Kazik Kozłowski nie żyje - ciężko ranny w Obronie Warszawy we wrześniu 39-go roku, po paru miesiącach operowany zmarł.

Jurek Ławacz - harcerz, nie żyje - aresztowany i rozstrzelany przez gestapo, gdzieś w zgierskich lasach.

Rodzeństwo Chrupków z Łodzi nie żyją - rozstrzelani wraz z rodzicami w łódzkim więzieniu w 42-im roku.

Mietek Zawodny - nie żyje, prawdopodobnie rozstrzelany w egzekucji w Krakowie na ulicy Botanicznej 27 maja 44-go roku.

Co z Jurkiem Rutkowskim? Nie wiemy, ostatnio był w hitlerowskim obozie w Niemczech.

Co z Olą Rajcówną? Nie wiemy, aresztowana przez NKWD została wywieziona 23 lub 24 marca 45-go roku do Związku Radzieckiego.*

A co z Kubą Rutkowskim? - Zaginął, ostatnio był w obozie w Oświęcimiu i dotąd nie wrócił. Podobno ktoś dał znać rodzinie Rutkowskich, że Kuba jest w więzieniu na Montelupich.! Czy to możliwe?

Sowiecki komendant więzienia zaprzeczył temu, gdy ojciec Kuby, który właśnie wrócił z oflagu i zwrócił się do niego z zapytaniem o syna.

Był pamiętny dzień 9-go maja 1945 roku. Szłam przez krakowskie planty na wykład z fizyki do gmachu obok Collegium Novum.

Po ostatniej wojennej mroźnej zimie nastąpiła piękna

* patrz str. 169

choć trochę spóźniona wiosna. Zaczynały kwitnąć bzy a ich zapach przypominał mi zawsze moje imieniny z dzieciństwa. Szłam powoli, myślami będąc daleko poza Krakowem.

Sala wykładowa była pełna studentów. Rozmawiając i chodząc po sali czekaliśmy na wykład profesora Zakrzewskiego, który już powinien był się zacząć, gdy na salę wbiegł młody człowiek. Wskoczył na ławkę w górnym rzędzie przy oknie. Stał przodem do sali i głosem pełnym emocji oznajmił - " Wojna się skończyła ! Niemcy podpisali bezwarunkową kapitulację " ! Rozejrzał się po sali i czekał na naszą reakcję. Na sali zapadła kompletna cisza.

- "Nie cieszycie się"? Słyszę jego głos z nutą pretensji. Dalej cisza. - "Co za ludzie" - Zabrzmiało z pod okna złośliwie i pogardliwie. Cisza. Podniosłam głowę. Nasz zwiastun tej tak bardzo wyczekiwanej przez nas w ciągu tych okrutnych wojennych pięciu lat wiadomości, zszedł powoli z ławki. Z zawiedzioną i obrażoną miną przysiadł się do jakiegoś studenta siedzącego na ostatniej górnej ławce. Rozmawiał z nim chwilę. Następnie zszedł w dół sali minął katedrę i wszedł do pokoju dla profesorów.

Popatrzyłam na moich kolegów i koleżanki. Zamyśleni smutni. Za mną siedziała ze spuszczoną głową owiniętą szczelnie chusteczką, mizerna Halinka bez włosów po przebyłym tyfusie. Obok niej Bogna ładna dziewczyna oparła głowę na rękach i patrzyła przed siebie. Myślami była chyba gdzieś daleko. Nogi miała pod ławką ale wiedziałam, że jedna z jej zgrabnych nóg nie miała prawie pół łydki. Była z Powstania Warszawskiego. Trochę dalej siedziała starsza od nas z nerwowym tikiem twarzy, wysoka przystojna dziewczyna, też z Powstania.

Nikt nie rozmawiał. Myślami byliśmy z naszymi bliskimi o których nie wiedzieliśmy czy żyją. Przed oczami stanął mi pamiętny dzień 27 maja 1944 roku, w którym byłam świadkiem wprawdzie nie samej egzekucji czterdziestu Polaków na ulicy Botanicznej w Krakowie ale w chwilę później, gdy ofiary tej egzekucji leżały jeszcze na miejscu zbrodni, pilnowane przez oprawców - gestapowców. ! Nie doczekali się końca wojny ! A ci z nas, którzy właśnie teraz gdy wojna się już skończyła, zamiast uczyć się z nami "w nagrodę" za walke z Niemcami zostali aresztowani przez NKWD i wywiezieni na

wschód na katorgę. Czy wrócą?! Z czego mamy się cieszyć?

Właśnie nasz zwiastun końca wojny wychodzi z pokoju profesorskiego. Szedł zły obok ławek w których siedzieli milczący studenci. Widać nie po jego myśli była również reakcja profesora na jego radosną wiadomość.

Za chwilę na salę wszedł profesor Zakrzewski. Bez żadnego komentarza zaczął swój wykład.

Otworzyłam zeszyt z notatkami. Zaczęłam pilnie notować - ciąg dalszy - optyka.

Wykład się skończył. Podeszłam do okna, chciałam popatrzeć na krakowskie Planty w ich wiosennej szacie! Jak dobrze, że na swoje studia wybrałam botanikę!

Miałam pewność a zarazem radość, że nigdy nie będę żałowała tego wyboru!

Pozostała więc nam tylko nauka.

Jednak już w następnym roku 1946-tym, 3-go Maja studenci Krakowa zrywają się do olbrzymiej manifestacji, by dać dowód, że nie zapomnieli jak powinna wyglądać prawdziwa niepodległość i suwerenność naszej Polski.

Świat udał, że nie rozumie czemu protestuje polska młodzież!

Moje wspomnienie z tej manifestacji zostało wydrukowane w "Informatorze" SŁP AK - Kraków nr. 5(65) Rok VI ~ maj 1997 r. ~ str. 7. /

1477/WSK

AK
Kraków

ŚWIERCZ-BRUNARSKA Jofia
ps. "Sefonka"

v. Wypisy ze źródeł - nazwiskowe karty
informacyjne: 1

i

I: 1477/WSK

AK
Kreków

ŚWIERCZ - Brumerske Łofie
ps. "Sefonka"

zob: "Byłe wojne. Wspomnienie
'pezieta'" N:

"Okrucy wspomnień 2 lat
walki i mętyrdopii" AK"
Ś 2 z AK Oddział Kreków - Wschód,
Rok 10, Kwekoku 2001 Nr 40
s. 41-82

D.k. 02.

FUNDACJA
ENERGIA
ELŻBIETY ZAWACKIEJ
1939 1945
OKR. POMORZE
AK
+ karty inf dostę p. k. w.
z mapeteriencjami
karty zostały
pomyślone
1999

ŚWIECZ- Brunarska Jofia



Zakład Produkcyjny w Legnicy
TECZKA DO AKT
SWW 1824-331 ZN-96/1

